

Janusz Esman

Wspomnienia. Część I. Okupacja i pierwsze lata powojenne

Ludzie mówią tak: *Sięgam pamięcią, pamiętam, przypominam sobie...* Mówi się również, że pamięć jest zawodna, ulotna... Zjawiskiem pamięci zajmują się także naukowcy. Nie interesuję się pamięcią w tym aspekcie, jest to sprawa dla psychologów, psychoanalityków i psychiatrów. Przeżycia z dzieciństwa zarejestrowałem dawno, nie odtwarzam ich teraz na nowo, w wieku przeszło 70 lat. Piśzę „zarejestrowałem”. Mógłbym użyć innego terminu, na przykład zapamiętałem pewne „obrazy” z dzieciństwa i teraz do nich wracam. Nie jest to trudne, „oglądałem” przecież te obrazy w wieku lat 10, 20, 30 i dobrze zachowałem je w pamięci. Obrazy z wczesnego dzieciństwa nie są ułożone w jednym ciągu czasowym. Większość wspomnień z okresu okupacji dotyczy wydarzeń z 1944 r. i stycznia 1945 r. Zamiast „obrazy” mógłbym użyć słowa „fotografie”. Raz zrobiona fotografia pozostaje na długie lata. Dopiero po kilkudziesięciu latach trochę blednie i blaknie. To tak, jakby fotografie z dzieciństwa włożyć do albumu. Wystarczy teraz otworzyć album i już ma się przegląd tego, co działo się w dalekiej przeszłości.



Rodzina Esmanów, autor wspomnień jako dziecko, pierwszy z prawej, 1942 r.

Moje dzieciństwo i całe życie to w przenośni kolekcja fotografii. Ta swoista „Kolekcja pamięci” pozostanie w albumie do końca. Opisane poniżej wspomnienia opieram przede wszystkim na tym, czego sam doświadczyłem. Fakty dotyczące okresu okupacji niemieckiej uzupełniłem przekazami rodzinnymi.

Przekazy te pozwalają mi zachować chronologię wydarzeń. Rzeczywistość okupacyjną i najwcześniejsze lata powojenne opisuję oczami dziecka, mimo że wokół był świat dorosłych. Część tych opisów nie była ważna z punktu widzenia przeżyć mojej rodziny, dla kilkuletniego dziecka była jednak istotna. Przeżycia okupacyjne zostały dobrze utrwalone w pamięci rodzinnej, ponieważ przez całe życie wracaliśmy do tego tragicznego okresu. Pisząc wspomnienia, korzystałem także z zachowanych w domu dokumentów i fotografii. Czytałem ponadto dokumenty archiwalne znajdujące się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Bydgoszczy. Akta budowlane, książki adresowe i karty meldunkowe pozwoliły mi zweryfikować pewne fakty dotyczące przeróżnych wydarzeń, w których uczestniczyłem osobiście lub brali udział członkowie mojej rodziny. Sporo interesujących materiałów dotyczących okresu stalinowskiego znalazłem także w Delegaturze Instytutu Pamięi Narodowej w Bydgoszczy.

W moich wspomnieniach używam od czasu do czasu słów i zwrotów nie stosowanych już we współczesnym języku polskim. Nasz język codzienny uległ w ciągu ostatnich dekad znacznej unifikacji. Z języka używanego przez mieszkańców Bydgoszczy zniknęły liczne germanizmy i określenia gwarowe. Wpływ na unifikację języka miało upowszechnienie edukacji, oddziaływanie radia, prasy i telewizji.

Do pierwszej klasy powszechnej chodzili ze mną uczniowie, którzy w żaden sposób nie mogli wyzbyć się manieri używania zwrotów: „ja żym”, „ja zem”. Nasza opiekunka I klasy, pani Maciejczak, włożyła niemalże trudu, aby wyrugować te archaiczne zwroty z dziecięcego słownictwa. Dzieci powszechnie używały także zniekształconych niemieckich słów, nie tylko rzeczowników, które z natury łatwiej wpadają w ucho, ale także czasowników. Wokół słyszało się, że „sznurek trzeba nasztramować”, „pieniądze nasorgować” lub „naszparować”, „deski nasztaplować”, „króliki nafutrować”, „trzewiki wyglansować”, „w piecu nahajcować”, „wodę gisnąć” i „blachę zeszwajsować”.

Moje zapiski należy uzupełnić o podstawowe dane dotyczące rodziny. Od końca 1939 r. moja rodzina: ojciec Tadeusz i mama Maria, babcia Tekla oraz siostry Ewa i Danka, mieszkała na Bielawach przy ulicy Koziętulskiego 38 (wtedy Köp-pel Strasse). Był to dwupiętrowy nieotynkowany dom stojący na rogu Koziętulskiego i Lelewela. Nasze mieszkanie na parterze składało się z dwóch pokoiów, nieumeblowanego lokalu przeznaczonego na sklep, kuchni i łazienki [kąpielki]. Mieliliśmy także balkon, przez który moje siostry skracały sobie drogę do ogrodu. Lokum tego nie można porównywać z eleganckim pięciopokojowym mieszkaniem przy ulicy Grunwaldzkiej 5, które rodzice zajmowali do początków września 1939 r., ale – jak na warunki okupacyjne – prezentowało całkiem niezły standard.

Ojciec, przedwojenny kierownik Archiwum Państwowego w Bydgoszczy, od początków 1940 r. zatrudniony był jako pomoc archiwalna w Urzędzie Kultury Rolnej (Kulturamt) przy ulicy Gdańskiej 95. W urzędniczej nomenklaturze III Rzeszy, Polacy nieposiadający wpisu na niemiecką listę narodową (Volksliste) stanowili w stosunkach pracy tzw. siłę pomocniczą, w domyśle: pomocniczą w stosunku do Niemców, a także nieposiadającą w związku z tym pełnych kwalifikacji zawodowych. Pozycja Polaków w zakładach pracy miała wpływ na ich niższe wynagrodzenie w stosunku do reichsdeutschów i volksdeutschów.

Mama w czasie okupacji nie pracowała zawodowo, podobnie jak moja babcia Tekla, matka ojca. Siostra Ewa chodziła od września 1940 r. do szkoły podstawowej przy ulicy Świętojańskiej. Młodsza od Ewy siostra, Danka, zaczęła chodzić do tej samej szkoły w roku 1941. Ewa opowiadała, że w pierwszej i drugiej klasie wszystkie lekcje miała z jedną nauczycielką. Młoda nauczycielka terroryzowała uczennice. Od samego początku wszystkie lekcje odbywały się w języku niemieckim. Większość dzieci nie mówiła dobrze po niemiecku. Nauczycielka uwzięła się na dziewczynki znające słabo ten język. Koleżanka Ewy o nazwisku Skiba dostawała regularne lanie trzcinką. Bicie było upokarzające: dziecko musiało się pochylić, oprzeć rękoma o ławkę i w tej pozycji nauczycielka wymierzała karę chłosty. Epitety adresowane do uczennic, w rodzaju „polskie świnię”, były na porządku dziennym. Moja mama starała się uchronić córki przed jej furią. Na Gwiazdkę 1940 r. sprezentowała nauczycielce dużą paczkę własnoręcznie zrobionych pierników. Taka forma obłaskawiania okazała się skuteczna – moje siostry nigdy nie doświadczyły przemocy fizycznej w szkole na ulicy Świętojańskiej. Kiedy rodzice wprowadzili się do domu na ulicy Kozińskiego, pierwsze piętro zajmowało bezdzietne małżeństwo Limińskich. Pan Stanisław Limiński został aresztowany przez Gestapo w 1941 r. i wysłany do obozu koncentracyjnego. Po aresztowaniu męża wyprowadziła się z mieszkania jego żona Klara. Po wojnie prowadziła sklep na ulicy Gdańskiej nr 30. Początkowo był to sklep z tzw. towarami krótkimi: pasmanterią i galanterią. Odwiedzałem ten sklep razem z mamą, a później samodzielnie, kiedy pani Limińska zaczęła sprzedawać także gazety. Mieszkanie po Limińskich przejęła rodzina Ahrensów. Oberfeldmeister Ahrens pochodził z Hamburga, jego żona ze Słupska (Stolp). Ahrens zwierzył się ojcu, że jeszcze na początku lat trzydziestych działał w Komunistycznej Partii Niemiec, a po dojściu do władzy Hitlera wstąpił do NSDAP. Partia powierzyła zadanie zorganizowania w ramach Arbeitsdienstu obozu dla dorastającej młodzieży niemieckiej w Grucznie koło Świecia. W mieszkaniu na Kozińskiego bywał rzadko. Zapamiętałem dość dobrze sylwetkę postawnego mężczyzny ubranego w żółto-brunatny mundur.

Na drugim piętrze mieszkali August i Maria Blerikowie (pisali się van Blerique) oraz ich dorastająca córka o imieniu Bożena. August van Blerique był potomkiem holenderskich osadników mennonitów, którzy osiedlili się w XVII i XVIII wieku w okolicach Świecia. Moją mamę łączyły z panią Blerikową serdeczne więzi przyjaźni, które przetrwały nie tylko czas wojny, ale i okres powojenny. O Ahrensach i Blerikach będę jeszcze pisał w dalszej części wspomnień.

Na początku był sen – raczej senna mara. Obraz ze snu sięga wstecz głębiej niż moja pamięć. Ten sen prześladował mnie jeszcze w wieku dojrzałym. Widzę, jak powoli nachylają się nade mną niewyraźne, wielkie postacie, ubrane w niebieskozielonkawe szaty, na głowach mają wysokie spiczaste czapki. Pochylają się i wyprostowują, nie wydają dźwięków. Znowu się pochylają, patrzą na mnie surowym, badawczym wzrokiem. Bardzo się boję, chciałbym wrócić do realnego świata. W tym momencie się budziłem. Okropny sen powtarzał się w następnych latach. Minęło dzieciństwo i młodość, a mary senne ciągle się pojawiały. Mówi się, że sny są odbiciem zdarzeń z przeszłości. Tylko ja potrafię wyjaśnić tajemnicę tego snu, ponieważ wiem, co wydarzyło się pewnego jesiennego poranka roku 1942 w naszym mieszkaniu na Kozietulskiego 38. Wiem o tym przede wszystkim z relacji mojej mamy. Sprawa była wielokrotnie omawiana w kręgu rodzinnym.

Mama czyściła na stole kuchennym odzież szcztoką, używając żrącego środka czyszczącego o nazwie salmiak [chlerek amonu] znajdującego się w butelce. Bawiłem się gdzieś w pobliżu jakąś zabawką. W pewnym momencie mama wyszła z kuchni, udając się do ubikacji. Kiedy wróciła, siedziałem spokojnie na stole. Mama zwróciła uwagę na moje nienaturalnie czerwone usta. Obok leżała szminka do ust, więc pomyślała, że posmarowałem sobie usta szminką. Po chwili zauważyła jednak, że czerwień robi jak gdyby bardziej intensywna. Dotknęła palcem wargę – na palcu była krew! W lot zrozumiała, że wypilem nieznaną ilość salmiaku. Wtedy dopiero zacząłem płakać. Nie było czasu na namyślanie się i rozpacz. Mama wsadziła mnie do dziecięcego wózka i pędem pobiegła do znajdującego się o kilka minut drogi szpitala dziecięcego na Chodkiewicza. Lekarze bez namysłu wzięli się do ratowania mojego życia. Przeprowadzili kilkakrotne płukanie żołądka. Krwawienie z gardła i ust ustało dopiero po dwóch dniach. W szpitalu spędziłem kilka dni. Podobno nie byłem grzecznym pacjentem, cały czas się awanturowałem, jeżeli tak można nazwać zachowanie dwuletniego brzdąca. Byłem tak niespokojny, że lekarze musieli mnie przywiązać pasami do łóżeczka. Domagałem się jak najszybszego powrotu do domu, wykrzykując na przemian po polsku i niemiecku: – *Mamusia nach Hause* lub *Mutti do domu!* Postacie w moich wieloletnich koszmarach sennych były właśnie lekarzami ratującymi mi życie.

Z pobytu na Kozietulskiego pamiętam tylko oderwane obrazki, najwyraźniej wbiła mi się w pamięć wędrówka na czworakach schodami w górę na drugie piętro, do Blerików. Strome, o wysokich stopniach schody miały jaskrawoczerwony kolor, zawsze się świeciły – lokatorzy musieli dbać o klatkę schodową. Moja droga schodami w górę kończyła się żółtokremową przeszkodą w postaci drzwi. Aby oznajmić swoje przybycie do celu, waliłem piąstkami w „przeszkodę”, która znalazła się na mojej drodze. Drzwi szybko się otwierały i znajdowałem się w ramionach cioci Blerikowej. Uściski były tak mocne, że z czasem zacząłem się ich bać. Ciocia bardzo mnie kochała. Blerikowie dostali III grupę na volksliście. Rodzice ustalili z nimi, że w przypadku ich aresztowania lub wywózki na przymusowe roboty do Niemiec, właśnie Blerikowie się mną zaopiekują. Moje starsze siostry, Ewa i Danka, miały dostać innych opiekunów. Czasami otwierała mi drzwi kilkunastoletnia córka Blerików, Bożena, pracująca w pobliskiej piekarni jako uczennica. Moja mama chodziła do tej piekarni po chleb na kartki. Kiedy nadarzyła się okazja dziewczyna wsuwała mamie do siatki bułki. Bułki stanowiły rarytas – mogli je kupować tylko Niemcy – Polacy musieli jeść czarny chleb. Kiedyś dziewczyna wpadła na wynoszeniu dla Polaków bułek z piekarni. Właściciel piekarni przyszedł do mieszkania Blerików i zrobił wielką awanturę. Dziewczyna o mały włos nie wyleciała z pracy. Ostatecznie skończyło się na obniżeniu wynagrodzenia za pracę.

Towarzyszami moich zabaw na Kozietulskiego byli Udo i Ingo Ahrensowie. Pamiętam ich obu: Udo nieco starszy ode mnie, płowy blondynek, i trochę młodszy, ciemnowłosy Ingo. Udo bywał częstym gościem w naszym mieszkaniu. Do mojej mamy zwracał się per „mamusza”. Moja babcia uczyła go po polsku „Ojcie nasz”, podobno z mizernym efektem. W 1944 r. urodził się u Ahrensów jeszcze chłopiec o imieniu Gero. W 1940 r. pojawiła się u nas zakonnica Stefcia. Przyszła „prosto z ulicy”, bo poszukiwała ją policja za przynależność do zakonu. Stefcia należała przed wojną do zakonu Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego á Paulo (szarytki). Poprosiła mamę o pomoc w znalezieniu dla niej lokum i jakiegos zajęcia. Została u nas kilka dni. Później przeniosła się do naszych sąsiadów z naprzeciwka, Karczów. Mama znalazła także dla niej pracę. Namówiła panią Ahrensową, żeby zatrudniła ją u siebie jako służącą. Stefcia pracowała u Ahrensów dłuższy czas. W pierwszych latach powojennych Stefcia często odwiedzała nas na Asnyka. Nosiła granatowy habit i na głowie charakterystyczny duży biały kornet.

Chciałbym teraz przedstawić okoliczności usunięcia nas z mieszkania na Kozietulskiego. Okoliczności te znam z powojennych przekazów rodzinnych. W 1942 r. niespodziewane wizyty zaczęła nam składać Polka mówiąca po

niemiecku. Początkowo rodzice nie wiedzieli, jakie są jej intencje. Kobieta ta starała się być sympatyczna, częstowała dzieci karmelkami, opowiadała dużo o sobie. Wkrótce okazało się, że jej plany są nieczne. Upatrzyła sobie nasze mieszkanie dla swojego narzeczonego Niemca. Za którymś razem przyprowadziła go ze sobą. Był to kulawy Reichsdeutsch z Gdańska, weteran I wojny światowej, nosił nazwisko Mrozinski. Para zagroziła, że jeżeli dobrowolnie nie opuścimy mieszkania, zgłoszą sprawę do kwaterunku, a jeżeli i to nie pomoże, „załatwią to inaczej”.

W grudniu 1942 r. przyszło pismo z kwaterunku informujące, że do końca stycznia 1943 r. mamy opuścić mieszkanie na Kozietulskiego, które ma być przydzielone rodzinie niemieckiej. W zamian za mieszkanie na Kozietulskiego oferowano nam mieszkania w kilku innych punktach miasta. Rodzice odwiedzili wszystkie te miejsca, które tylko w przenośni można było nazwać mieszkaniami, bardziej stosowne byłoby określenie nora. Ostatecznie przyjęli lokal mieszczący się w przybudówce do piętrowego domku znajdującego się na tyłach posesji przy ulicy Chłopickiego 4 (Wrangel Strasse). Domek oddzielony był od ulicy ogrodem. Od strony ulicy Chłopickiego nie pobudowano żadnego domu do dziś, więc niezabudowana przestrzeń wygląda jak wyrwa w równym ciągu budynków. Mieszkanie przydzielił formalnie urząd kwaterunkowy, faktycznie jednak Gestapo, bowiem tam właśnie musiał zgłosić się ojciec po odbiór kluczy. Poprzedni najemca, kolejarz Marcin Skrabaczewski, został aresztowany wraz z całą rodziną (łącznie 6 osób) w lipcu 1942 r. Wojnę, w obozie koncentracyjnym, przeżyła tylko najmłodsza córka Bogumiła. Sąsiedzi mówili, że Skrabaczewscy ukrywali kogoś w komórce pod kuchnią. Po wojnie okazało się, że był to brat Franciszki Skrabaczewskiej, Józef Kwiatkowski, poszukiwany przez Gestapo za udział w wydarzeniach z 3 września 1939 r. Podobno Kwiatkowskiego wydał w ręce Niemców konfident o nazwisku Jabłoński. Ślady rewizji były widoczne, kiedy moi rodzice wprowadzali się do tego mieszkania. Lokal był kompletnie zdewastowany: zawalony śmieciami, szkłem, papierami, resztkami sprzętu domowego. Na ścianach widoczne były ślady krwi. Na podłodze leżał rozbity szklany obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Pozostałości obrazka przechowuję po dzisiejszy dzień.

Nowe miejsce zamieszkania pamiętam już dość dobrze. Dziecko w wieku 4 lat potrafi zachować w pamięci sporo faktów z przeszłości. Wydaje mi się, że to, co pamiętam z pobytu na Chłopickiego, zdarzyło się głównie w 1944 r. i styczniu 1945 r. W naszej norze mieszkali ludzie, ale z uwagi na warunki bytowania można powiedzieć, że mieszkaliśmy jak zwierzęta. Mieszkanie składało się z dwóch pokoiów i kuchni. W kuchni stał piec kuchenny z dużym płatem i pięcioma fajerkami. Dach nad kuchnią miał sporą dziurę zapewniającą naturalną wentylację w ciepłe dni. Kiedy padał deszcz, podstawiało się wiadra i miski, aby zapobiec

zalaniu mieszkania. W większym pokoju znajdował się mały piec typu koza. Pokój ten zajmowało początkowo pięć osób, a po narodzinach mojej siostry Hani, w lutym 1944 roku, sześć. Babcia mieszkała w najmniejszym pokoju, nie było tam w ogóle pieca. Domek pozbawiony był elektryczności, gazu, bieżącej wody, ubikacji. Wodę czerpało się ze studni położonej około 20 metrów od domu. Źródłem światła były lampy karbidowe i naftowe. Lampy karbidowe dawały nikle światło. Do dziś pamiętam słodkawo-mdły zapach karbidu rozprzestrzeniający się po wszystkich izbach. Lepsze oświetlenie dawały lampy naftowe. Używaliśmy ich jednak rzadziej, bo nafta była droga i w dodatku na kartki. Nieodłącznymi towarzyszami naszej niedoli były karaluchy, które zagnieździły się w komórce pod kuchnią. Wieczorami i nocami wychodziły na żer do kuchni. Rano można je było przydybać nie tylko na podłodze, ale i na szafach kuchennych. Na podwórzu królowały natomiast szczury, penetrujące teren koło śmietników, wychodków i klatek z królikami. Potrzeby fizjologiczne załatwiano w małych drewnianych wychodkach. Z przybytku tego korzystały nie tylko rodziny mieszkające na naszym podwórzu, ale także kilka rodzin z ulicy Nakielskiej. Pobyt na Chłopickiego, biorąc pod uwagę warunki bytowania, stanowił dla nas jak gdyby przeniesienie do innego świata: ze świata cywilizowanego na Kozietulskiego do średniowiecza na Chłopickiego. Rodzice i reszta rodziny zapłacili wysoką cenę za wytrwanie przy polskości. Na terenie podwórza, w dobudówkach, przybudówkach i nadbudówkach, gnieździł się podobni nieszczęśnicy jak my. Wilczak stał się czymś w rodzaju polskiego getta, przesiedlano tu Polaków ze Śródmieścia i innych lepszych dzielnic.

Krąg znajomych moich rodziców i babci ograniczał się do kilku osób. Niedaleko, przy ulicy Nakielskiej nr 21, mieszkał mój dziadek Ludwik Nowakowski i jego syn Zbigniew z rodziną, brat mojej mamy. Wujek Zbyszek był moim ojcem chrzestnym. Parter jednopiętrowego domku obok nas zajmował przedwojenny marynarz polskiej floty handlowej Roman Zieliński z rodziną. Na pierwszym piętrze mieszkali państwo Latosowie, którzy mieli dwie córki. Jedna z nich wyszła za mąż za polskiego oficera Burhardta, który prawie całą wojnę spędził w oflagu. Mieli córkę Marlenę, moją późniejszą koleżankę z Wydziału Prawa na UMK w Toruniu. Trochę dalej, w kolejnej przybudówce, mieszkał szewc Wilk z żoną i trójką dzieci.

W opisie sytuacji lokalowej panującej na Wilczaku często piszę o przybudówkach. Przybudówki kojarzą mi się z wojenną biedą i prowizorką. Wyrastały one w czasie okupacji jak grzyby po deszczu. Takie prowizoryczne budowle wznoszono także naprędce po wojnie, mając za nic pierwotną wizję architekta czy budowniczego. Budowle takie po dzień dzisiejszy straszą ludzi mających elementarne poczucie estetyki.

Aby żyć, człowiek musiał mieć nie tylko dach nad głową, ale także co jeść. Od 1941 r. podstawowe produkty żywnościowe kupowało się na kartki. Nie dla wszystkich były jednakowe przydziały racji żywnościowych. Generalnie Niemcy i osoby wpisane na volkslistę miały wyższe przydziały żywnościowe niż Polacy. Osoby pracujące otrzymywały więcej niż niepracujące. Ciężko pracujący robotnicy i pracujący w nocy, mieli także prawo do wyższych racji żywnościowych. System był z gruntu niesprawiedliwy, bo z założenia faworyzował Niemców. Wysokość przydziałów kartkowych była ściśle określona. Odcinki na kartki żywnościowe opiewały na ogół na gramy. Kartkowe racje pozwalały ledwo przeżyć, dużo polskich rodzin przymierało głodem. Szczególnie trudną sytuację miały rodziny z małymi dziećmi, tak jak nasza. Dzieci potrzebowały mleka, masła, jajek, serów, mięsa. W miarę pogarszania się sytuacji militarnej i gospodarczej Niemiec naturalne produkty żywnościowe zastępowano sztucznymi. W końcu prawie cała żywność stanowiła „ersatz”. Zamiast masła oferowano margarynę, zamiast naturalnych jajek – jajka w proszku, zamiast cukru – sacharynę. Ersatzem były: miód, herbata w proszku, kawa z cykorii, prasowana marmolada z buraków i melasa z brukwi, zwana krojdą. W takiej sytuacji trzeba było się jakoś ratować. Zapamiętałem dobrze jednostajny repertuar naszych posiłków. Śniadanie zaczynało się od haferfloków [płatki owsiane], do tego czarny chleb posmarowany margaryną i obłożony salcesonem. Obiad stanowił najczęściej eintopf – jednodaniowy posiłek przypominający zupę. Z zup najczęściej jadalіśmy fasolówkę, grochówkę lub jarzynówkę. Zupę gotowało się na kościach z dodatkiem pokrojonej na drobno okraszy [słoniny]. Nieodłącznym składnikiem zupy grochowej była kiszona kapusta. Mięso jedliśmy głównie kartkowe. Jadaliśmy dużo jarzyn: kartofle, marchew, buraki, kapustę, brukiew i dynię. Dynię [korbol] przyrządzano w różnej postaci: jako podstawowe warzywo do obiadu, kompot, marynaty i marmoladę. Zbrzydła mi do tego stopnia, że dzisiaj nie mogę na nią patrzeć. Obecnie jest moda na urozmaicone jedzenie, między innymi na dynię. Dla mnie, jadającego często korbole w czasie okupacji, jedzenie tego warzywa wydaje się niezrozumiałą fanaberią kulinarną. Niech jedzą ją ci, którzy nie musieli nigdy jeść jej w nadmiarze! Przyczyn częstego spożywania warzyw było kilka. Najważniejsza – nie obowiązywały na nie kartki. Ludzie uprawiali je, gdzie tylko kto mógł. Ponadto warzywa stosunkowo łatwo przechowywało się na zimę i wiosnę. W naszym mieszkaniu składowano je w sklepie [piwnicy] znajdującej się pod kuchnią. Aby tam wejść, należało podnieść drewnianą klapę i zejść kilkoma schodami. Zapach rozkładających się kartofli był charakterystycznym zapachem roznoszącym się na wiosnę po wszystkich pomieszczeniach. Od czasu do czasu gościła na naszym stole jagła [kasza jagłana]. Moje ulubione danie obiadowe stanowiły plendze [placki ziemniaczane]

posypane cukrem. Do tego dania pilo się czarną kawę z cykorii. Smakował mi także smażony na patelni chleb. Przed smażeniem moczyło się go w mleku lub wodzie. Mięso było rzadko. Od czasu do czasu gościło na stole mięso królicze pochodzące z naszej prywatnej hodowli. Wszyscy nasi sąsiedzi z podwórza mieli króliki, my też. Nie pamiętam, ile mieliśmy tych klatek z królikami, wydaje mi się, że mogło ich być od jednej do dwóch. Dla mojej najstarszej siostry Ewy najgorszym momentem była strata jej ulubionego białego królika o imieniu Trusia. Ewa na znak protestu nie jadła nic przez dwa dni. Obraziła się też na naszą babcie, która dokonała egzekucji królika. W czasie okupacji w zasadzie w ogóle nie jadłem mięsa, nie lubilem go. Mięso przyrządzane w domu było gorszego gatunku, pełno w nim było żył i różnego rodzaju chrząstek. Uprzedziłem się do niego do tego stopnia, że nie jadłem go nawet przez kilka lat po wojnie. Mięso zacząłem jeść dopiero w wieku 14 lat, kiedy pojechałem do prewentorium w Głuchowie koło Czerniejewa. Od czasu do czasu jedliśmy ryby złowione i przyniesione nam przez życzliwych sąsiadów. Sąsiedzi oraz znajomi zaopatrywali nas też w raki złapane w Brdzie. W pamięć wbil mi się okrutny sposób zabijania tych skorupiaków. Raki wkładano do wiadra, po czym polewano je wrzącą wodą. Zmieniały wtedy kolor z brązowego na karmazynowy. Będąc małym brzdącem, obserwowałem obojętnie ich męczarnie. Na sentymenty wtedy nie było czasu i miejsca, nasza siedmioosobowa rodzina musiała przeżyć ponury czas hitlerowskiej okupacji. Na kolację jadano chleb z margaryną lub smalcem ze skrzyżkami [skwarki], do tego salceson lub inną kielbasę późniejszego gatunku. Kiedy ktoś był głodny, można było przeżuć kawałek suchego chleba. Chleb suszyło się w płóciennych workach uszytych przez mamę i poukładanych na szafach. Co jakiś czas babcia robiła selekcję zawartości worków, najstarsze kawałki chleba jadły króliki. Herbatę robiło się z suszonych strużyn od jablek. Napój miał jasnosłomkowy kolor. Tego typu herbatę piliśmy jeszcze kilka lat po wojnie. Muszę przyznać, że lubiłem ten kwaskowy smak herbaty z jablek. Na kolację babcia przyrządzała czasami potrawę o nazwie „falszywe śledzie”. Robiło się je z pokrajanej na kawałki cebuli, oleju i octu. O „falszywych śledziach” opowiedziały mi starsze siostry. Nie pamiętam ich smaku. Dzisiaj trudno mi sobie wyobrazić, że oprócz nazwy mogły mieć coś wspólnego ze śledziami. Jesienią i zimą chodziliśmy wcześniej spać, ponieważ słabe światło sączące się z lamp karbidowych nie pozwalało na długie siedzenie.

Jako że byliśmy dziećmi, nieobcy nam był świat gier i zabaw. Zabawy te oczywiście nie miały nic wspólnego ze współczesnym sposobem spędzania wolnego czasu przez dzieci. Moje siostry bawiły się lalkami uszytymi przez mamę z galganów i szmat. Ewa i Danka miały także talent do rysowania i malowania.

Potrafiły narysować wiele dziecięcych postaci, wyciąć je z papieru i później bawić się nimi, opowiadając na oczekaniu przeróżne historyjki ze świata dzieci i dorosłych. Przysłuchiwałem się tym opowieściom z wielkim zainteresowaniem. Siostry miały też dwa ocalale przedwojenne misie o imionach Chudoszula i Grubaska. Chudoszula należała do Danki, a Grubaska do Ewy. W czasie okupacji byłem w większości obserwatorem dziecięcych zabaw odbywających się na podwórzu. W okolicznych domach mieszkała spora gromadka chłopców, ale w większości starszych ode mnie. Zazwyczaj spędzałem czas w towarzystwie kilka lat starszego Zenona Wilka, syna wymienionego wyżej szewca. Chłopcy najczęściej grali w piłkę zrobioną za szmat lub galganów, czasami ktoś przynosił małe gumowe piłki. Zdarzyło się, że grali nadmuchiwaną blazą, czyli samą dętką od piłki. Pamiętam także popisy akrobatyczne chodzenia na drewnianych szczudłach, zrobionych przez ich ojców czy też starszych braci. Szczudła były różnej wielkości, dostosowane do wzrostu użytkowników. Pewnego dnia spróbowałem i ja trudnej sztuki chodzenia „nie na swoich nogach”. W tym celu stanąłem przy niskim murku, koledzy podali mi najmniejsze szczudła. Z trudem wdrapałem się na niższą poprzeczkę, zrobiłem jeden krok...i zaliczyłem kolejny upadek w moim krótkim życiu! Więcej już prób chodzenia na szczudłach nie podejmowałem. Przypominam sobie pewne zdarzenie z lata 1944 roku: Po obfitych opadach deszczu utworzyły się w zagłębieniach na podwórzu głębokie kałuże. Do jednej z takich błotnistych kałuż wszedł Zenon Wilk, zanurzając się w niej po kolana. Kiedy wyszedł z kałuży, miał do kolan błotnistą, czarną maź. Zenon zaczął biegać, podskakiwać i tańczyć wołając z triumfem: – *Mam oficir sztyfel, oficir sztyfel!* Zapragnąłem mieć także owe buty oficerki i wlałem do błotnistej kałuży. Niestety zapadłem się po pas, wywołując wesolość pozostałych chłopców. Wyszedłem z kałuży mocno speszony, nabywając jedno życiowe doświadczenie więcej.

Atrakcją dla takiego małego gzubka jak ja była jazda tramwajem, nazywanym w tym czasie także bimbą. Najczęściej jeździłem tramwajami z ojcem. Mama bała się zabierać mnie do centrum miasta i korzystać z miejskich środków transportu, ponieważ Polakom zabroniono posługiwania się językiem polskim w miejscach publicznych. Małemu dziecku trudno było wyjaśnić, dlaczego nie może mówić po polsku na ulicy czy w tramwaju. Z opowiadań ojca wiem, że kiedy zaczynałem coś mówić w tramwaju, zatykał mi buzię ręką. Jadąc, zawsze oczekiwałem na moment, kiedy tramwaj zbliży się do czegoś, co mogło z dzisiejszej perspektywy czasowej wydawać się tunelem, a faktycznie było kilkunastometrowym murem. Kiedy jechaliśmy z Wilczaka ulicą Nakielską do miasta, brązowy ceglany mur pojawiał się z lewej strony, a kiedy wracaliśmy – z prawej strony. Mur wskazywał albo pierwszy przystanek od wejścia do tramwaju od strony Chłopickiego, albo

jadąc z powrotem do domu – przedostatni. Zlikwidowano go po wojnie. Wydaje mi się, że mogło to być kilka lat przed budową ronda Grunwaldzkiego.

Mama w ogóle rzadko zapuszczała się dalej od miejsca zamieszkania. Panicznie bała się konfrontacji z Niemcami, nie mówiła dobrze po niemiecku i każdy niespodziewany kontakt z Niemcem powodował jej duże zdenerwowanie. W moim zbiorze pamiątek rodzinnych zachował się jej dzienniczek ocen z pruskiej szkoły powszechnej w Poznaniu. Ocena z języka niemieckiego była niezmienna, zawsze tylko *genuegend* [dostatecznie]. Mama była miłośniczką kina. Do kintopu chodziła namiętnie przed wojną; mieszkając kolejno w Poznaniu, Golubiu i Bydgoszczy. Jej miłość do kina została wystawiona na próbę w czasie okupacji. Kina były „nur für Deutsche”. Jak mi opowiadała, kilkanaście razy przełamała strach i poszła do kina przeznaczonego tylko dla Niemców.

Atrakcją dla mnie stanowił cyrk, który rozstawiał swoje namioty nad Brdą przy ulicy Królowej Jadwigi. Emocjonujący był moment zajmowania miejsc na jaskrawo czerwonych drewnianych ławkach w namiocie cyrkowym. Nie wiem, z jakich względów ojciec wybierał miejsca na koronie areny, nie wykluczam, że ze względów oszczędnościowych. Siedząc tak wysoko, wydawało mi się, że jestem na brzegu czerwonej studni. Bałem się upadku na dno tej studni, gdzie w świetle jupiterów złocił się żółty pasek. Upadek ze szczytu areny i długi lot w czerwoną otchłań na dno był motywem kolejnego snu nękającego mnie w dzieciństwie. Sen kończył się zawsze tak samo: kiedy tak leciałem w otchłań i mijalem z zawrotną szybkością czerwone ławki, zbliżając się szybko do żółtej areny, budziłem się. Inne przeżycie z cyrku, prawdopodobnie z wiosny 1944 r., które wbiło mi się głęboko w pamięć, to siedzenie na trąbie słonia. Obok głównego namiotu na terenie miasteczka cyrkowego stały także mniejsze namioty i budy, w których trzymano dzikie zwierzęta. W jednym z namiotów pokazywano olbrzymiego tresowanego słonia. Dzieci za drobną dodatkową opłatą mogły pod nadzorem tresera i rodziców spróbować pohuścić się na jego trąbie. Bałem się tego huśtania, ale ciekawość zwyciężyła i dałem się posadzić na trąbę. Asekurował mnie także ojciec, bo mama poszła oglądać z moimi siostrami inne zwierzęta. Huśtanie trwało może dwie, trzy minuty. Kiedy mama wróciła, miała do ojca pretensje za *głupie i niebezpieczne pomysły kosztem małego dziecka*. Kiedyś, będąc w centrum miasta z babcią, natknąłem się na paradę Hitlerjugend. Junacy HJ ubrani byli w odświętne stroje organizacyjne, grała orkiestra, stukwały w rytm marsza werble. Babcia nie pozwoliła mi jednak na dłuższe przyglądanie się paradzie, szybko odciągnęła mnie z miejsca zgromadzenia, uważając, że nam, Polakom, grozi w takim miejscu niebezpieczeństwo. Od małego dziecka starano się uczyć mnie ostrożności. Rodzice pilnowali, abym w miejscach publicznych nie mówił

po polsku. Za naruszenie tego zakazu można było narazić się na wyzwiska lub pobicie przez Niemców. Zdarzało się, że niemieccy przechodnie powiadamiali Gestapo o osobach używających języka polskiego na ulicy.

W kwietniu 1944 r. urodziła się moja siostra Hania, nie był to dobry czas na rodzenie i wychowywanie dzieci. Hania cały czas chorowała. Nie wiadomo, jak by to wszystko się skończyło, gdyby nie bezinteresowna pomoc polskiej lekarki Haliny Zielińskiej z ulicy Gdańskiej. Doktor Zielińska miała zasadę, że za leczenie polskich dzieci nie pobierała wynagrodzenia.

Latem 1944 roku ojciec wyjechał wraz z grupą polskich pracowników Kulturtamtu na kopanie umocnień przeciwczołgowych do Otłoczyna pod Aleksandrów Kujawski. Zostaliśmy sami, bez głowy rodziny. W tym czasie miało miejsce kolejne zdarzenie, które zapisało się trwale w przekazie rodzinnym i w mojej pamięci. Bawiłem się z grupką dzieci na podwórzu. W pewnym momencie opuściłem podwórko i poszedłem na pobliską ulicę Nakielską. Szczegółów dalszej wędrówki nie pamiętam. Scena, która utkwiała mi w pamięci, to pobyt we wnętrzu tanku [czołgu] i smak sucharów. Sucharki dawali mi jacyś żołnierze w czarnych drelichach. Byli bardzo mili dla mnie, gładzili mnie po płowej czuprynie i śmiali się. Podobno paplałem tym moim dziecinny, polsko-niemieckim językiem czterolatka, wywołując rozbawienie żołnierzy. Nie wiem, jak długo to trwało, może 5 minut, a może pół godziny, a może jeszcze dłużej? Zatraciłem poczucie czasu. Później usłyszałem głos mamy. Jakież ręce wyciągnęły mnie z wnętrza tanku i wręczyły mamie. Na odchodne dostałem od żołnierzy tytkę pełną sucharów. Mama po latach wielokrotnie wspominała to wydarzenie. Podobno szukała mnie przeszło godzinę – wpadła w panikę! Przechodziła kilka razy obok czołgów stojących po drugiej stronie Nakielskiej. Rozpytywała przechodniów, czy ktoś nie widział samotnego małego chłopczyka. Wreszcie zdobyła się na odwagę i podeszła do czołgów. Żołnierze byli w dobrym nastroju, widzieli atrakcyjną kobietę, zaczęli żartować. Jeden z nich zagadnął, czy czegoś nie zgubiła, bo oni tu mają małego blondynka, którego by chcieli zatrzymać jako maskotkę. Mówił, że w domu zostawił chłopca, który jest podobny do mnie.

Od połowy stycznia 1945 roku spędzaliśmy wiele godzin w schronie usytuowanym w piwnicy sąsiedniego domu. Do piwnicy biegaliśmy w ciągu dnia i nocy, kiedy tylko zawyły syreny ogłaszające alarm lotniczy. Na początku wycie syren wywoływało strach, później reakcje dorosłych były już mniej nerwowe. Nastroje i emocje dorosłych udzielały się dzieciom, mama i babcia starały się nas uspokajać. Widzę jak dzisiaj tę smętną piwnicę. Ludzie siedzieli na ławkach wzdłuż ścian, niewiele mówili, tylko małe dzieci nieświadome grozy sytuacji od czasu do czasu podnosiły głos. W rogu piwnicy leżała duża hałda węgla. Niektóre

dzieci próbowały bawić się jego kawalkami. W piwnicy panował półmrok, z żarówki umieszczonej na ścianie sączyło się wątłe światło. Odgłosy zbliżającego się frontu były coraz wyraźniejsze. Wzmagala się kanonada artyleryjska. Pewnego ranka, po alarmie lotniczym, zeszliśmy kolejny raz do piwnicy. W którymś momencie zauważyłem, że nie ma z nami mojej starszej siostry Danki, która chorowała wtedy na zapalenie płuc. Postanowiłem wykazać się inicjatywą i wziąć sprawę w swoje dziecięce ręce. Wybiegłem z piwnicy, schodami do góry, na podwórko. Kiedy tam się znalazłem oślepił mnie nagle blask jasnego dnia. Pokonałem strach i pobiegłem do naszego domku. Moja siostra leżała w łóżku – spała. Ledwo ją dobudziłem, nie chciała ze mną zejść do piwnicy – było jej wszystko jedno. Za chwilę przybiegła zdenerwowana mama, miała pretensje, że sam opuściłem piwnicę, mocno na mnie nakrzyczyła. Mama opatulila czymś ciepłym moją siostrę i razem poszliśmy do piwnicy.

Okolo 20 stycznia o zmierzchu pojawił się nagle w sieni ojciec. Nie widziałem go od kilku miesięcy, wyglądał inaczej, niż go zapamiętałem. Długa broda zmieniła jego twarz. Stał w długim zimowym szarym płaszczu. Minęło kilka chwil zanim rzuciłem mu się na szyję. Znowu byliśmy wszyscy razem! Od sierpnia 1944 r. ojciec przebywał wraz z innymi kolegami z Kulturamtu w obozie pracy w Otłoczynie koło Aleksandrowa Kujawskiego. Niemcy budowali tam system umocnień, głównie rowów przeciwczołgowych, spodziewając się rychłej ofensywy Armii Czerwonej. Do budowy umocnień skierowano setki mężczyzn z bydgoskich zakładów pracy. Ojciec uciekł z lagru w połowie stycznia. Szedł pieszo przeszło 70 kilometrów, podczas siarczystego mrozu, z kilkoma towarzyszami niedoli. Cały dobytek wiózł na prymitywnie skleconych sankach. Po latach w czasie rozmów rodzinnych dziwiliśmy się, że ojciec potrafił skonstruować sam sanki. Z dobytku, który przywiózł na sankach zapamiętałem czerwony blaszany bacheerek, w którym znajdował się miód. Miód szybko zjedliśmy, natomiast czerwony kubek przypominał nam przez lata powrót naszego ojca do domu. W ostatnich dniach stycznia, po powrocie ojca, mama i babcia zaczęły wyszywać chorągiew z białym orłem na czerwonym tle. Nie wiem, skąd miały materiały: atlas i różnokolorowe nici. Nie pamiętam na czyje zlecenie haftowały. Pracowały głównie wieczorem i nocą. Mama pięknie rysowała i malowała. Miała talent i zmysł artystyczny odziedziczony po ojcu, Ludwiku Nowakowskim. W latach dwudziestych ubiegłego wieku uczęszczała w Poznaniu przez trzy lata do Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego.

Któregoś styczniowego poranka nastąpiła nagle cisza... Ta cisza oznaczała koniec okupacji niemieckiej w Bydgoszczy. Okupację przeżyła nasza rodzina w komplecie. Udało się! Po wojnie wróciliśmy do naszego domu przy ulicy

Asnyka 4. Dwupiętrową willę położoną na Bielawach, jednej z ładniejszych dzielnic Bydgoszczy, rodzice kupili od Stanisława Dziurzyńskiego na wiosnę 1939 roku. Nie zdążyli się tam wprowadzić, bo wybuchła wojna. Willę wybudowano w 1932 roku. W tym czasie willowe domy powstawały w całej dzielnicy, którą jeszcze po wojnie niektórzy nazywali Sielanką.

Zrekonstruowałem w kręgu rodzinnym chronologię naszej przeprowadzki z Chłopickiego na Asnyka w ostatnich dniach stycznia 1945 roku. Ojciec po raz pierwszy pojawił się w naszym domu w piątek 26 stycznia. Pierwsza wizyta była krótka. Następnego dnia, w sobotę, przyszedł razem z babcią. Postanowili pilnować dobytku na zmianę po kilka godzin dziennie, bo czasy były niepewne. Na noc pojechali na Chłopickiego. Ostrożność była w pełni uzasadniona, bowiem w niedzielę rano 28 stycznia ojciec zastał mieszkanie otwarte. W środku, przy butelce wódki, urzędowało trzech polskich wojskowych: dwóch oficerów i kobieta w żołnierskim szynelu. Byli niezadowoleni, że ktoś im przeszkadza w popijawie. Zapytali ojca o cel wizyty. Kiedy wyjaśnił, że jest właścicielem mieszkania, zażądali udowodnienia tego faktu. Ojciec miał przy sobie tylko niemiecki dowód tożsamości z hitlerowską gapą na okładce. Starszy rangą oficer, kiedy zobaczył Kennkartę i niemiecko brzmiące nazwisko, wydał krótką komendę: – *Do piwnicy z nim. W Bydgoszczy nie ma Polaków, wszystkich zabili hitlerowcy* – dodał. W tym momencie interweniowała kobieta, która zaczęła przekonywać dowódcę, że sprawę powinien rozpatrzeć sąd. – *Jaki sąd?* – zapytał oficer. – *Sąd to ja zakończył.* Kobieta nie ustępowała: – *Chodźmy stąd* – ponagliła. Dowódca zadał ojcu jeszcze kilka pytań i stwierdził z niechęcią: – *Faktycznie, mówi jak Polak.* Po dłuższym wahaniu oddał kennkartę, wstał i bez słowa skierował się do wyjścia. Za nim poszła pozostała dwójka. Kiedy byli już na klatce schodowej ojciec zajrzał do bufetu. Na górnej półce zauważył niemiecką brandy Doppelkorn. Dogonił nieproszonych gości przy wyjściu z domu i wręczył kobiecie butelkę brandy z podziękowaniem za wstawiennictwo. W poniedziałek 29 stycznia po południu ojciec zabrał mnie po raz pierwszy na Asnyka. Cały dom, czyli trzy mieszkania i suterena były puste. Ojciec pokazał mi dom, obeszliśmy wszystkie mieszkania; panował w nich wzorowy porządek. W dużym pokoju na parterze zauważyłem na podłodze zabawki. Moją uwagę zwróciła drewniana kolejka stojąca na dywanie. Obok stała miniatura czarnego metalowego parowozu, umieszczonego na drewnianej podstawie. Wyglądało, jak gdyby jakieś dziecko tylko na chwilę wybiegło z pokoju, aby zaraz wrócić i kontynuować zabawę. Później znaleźliśmy jeszcze więcej zabawek, sporo z nich z motywami kolejowymi. Okazało się, że Niemiec zajmujący nasze mieszkanie, pracował w Dyrekcji Kolei Niemieckich na ulicy Dworcowej. Przed zapadnięciem zmierzchu ojciec zaprowadził mnie z powrotem

na Chłopickiego. We wtorek 30 stycznia nastąpił dalszy etap „ewakuacji” z Chłopickiego na Asnyka. W godzinach rannych odbyłem prawdopodobnie najdłuższy marsz w moim życiu na własnych czteroipółletnich nogach. Ranek był mroźny, ulice wydawały się puste. Mama ciągnęła solidny, ciężki, zrobiony z grubej dytki, biały wózek dziecięcy, w którym znajdowała się moja 9-miesięczna siostra Hania. Najpierw szliśmy Chłopickiego, potem skręciliśmy w prawo w Nakielską wzdłuż starego Kanału, miniliśmy brązowy murek na przystanku tramwajowym na Nakielskiej. Zaczęliśmy podchodzić pod wzniesienie prowadzące na kamienny most. Podejście było oblodzone, śliskie, mama z trudem pchała ciężki wózek. Pomagałem, jak mogłem. W pewnym momencie ukląknę na kolana, uczepiłem się lewą ręką drucianej siatki, nie wiadomo dlaczego rozpostartej wzdłuż drewnianej poręczy prowadzącej w górę mostu. Wyteżyłem wszystkie siły, aby pchnąć wózek. Niestety, trud okazał się daremny, wózek osunął się w dół, a my razem z nim. Ponowiliśmy próbę, tym razem zdjąłem z ręki welnianą rękawiczkę i znowu czepiłem się mocno ręką drucianego płotka. Wreszcie wepchnęliśmy wózek na wysokość mostu. Następne zapamiętane zdarzenie miało miejsce na rogu ulic 3 Maja i ks. Markwarta. Koło schodów narożnej kamienicy leżały dwa białe prześcieradła. Na jednym z nich zauważyłem tańczącego człowieka. Obok stało jeszcze dwóch, może trzech, innych ludzi. Kiedy mama zobaczyła prześcieradło i tego człowieka, szybko pociągnęła mnie na przeciwną stronę ulicy. Trochę się opierałem, bo scena wydawała mi się interesująca, może nawet zabawna. Jeszcze raz spojrzałem na prześcieradło – wystawały spod niego białe, bose nogi. Mama mocno mnie pociągnęła za rękę i krzyknęła: – *Nie patrz tam! To jest trup!* Dalsza część naszego długiego marszu z Chłopickiego na Asnyka przebiegała już bez zakłóceń. Z karty meldunkowej Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy wynika, że formalne zameldowanie 7-osobowej rodziny Esmanów na pierwszym piętrze willi przy Asnyka 4 mieszkanie numer 2 nastąpiło właśnie w dniu 30 stycznia 1945 r. Przeprowadzka na Asnyka trwała jeszcze kilka dni. Część rzeczy była przechowywana na Długiej u naszych krewnych, Mateckich. Najcenniejsze książki znajdowały się w dużej drewnianej skrzyni u Ahrensów na Koziętulskiego. W skrzyni leżała między innymi pięknie zdobiona, z wybitymi na czerwonym tle złotymi orłami piastowskimi, trzynomowa historia Polski zatytułowana „Polska, jej dzieje i kultura”. Skrzynia nie była zabezpieczona kłódką, stała sobie w korytarzu. Prawdopodobnie Ahrensowie nigdy do niej nie zaglądali. Ojciec odzyskał wkrótce zawartość skrzyni. W pierwszych dniach po wyzwoleniu miasta pożyczył ręczny wózek od zaprzyjaźnionego z nami szewca Karcza z Koziętulskiego i przetransportował książki do domu.

Na początku lutego ojciec podjął pracę w Archiwum Państwowym. Tak jak i przed wojną został kierownikiem tej instytucji. Jeszcze w tym samym miesiącu

rozpoczęły naukę w szkole powszechnej moje siostry Ewa i Danka. W maju 1945 r. poszły do I Komunii Świętej w parafii św. Wincentego à Paulo na Biela-wach. Do „Przyjęcia” szły w ładnych białych sukienkach uszytych przez mamę. Materiał pochodził z sukni ślubnej niemieckiej użytkowniczkii mieszkania na Asnyka. Mama uszyła też siostronom specjalne długie suknie, alby, do sypania kwiatów w czasie procesji Bożego Ciała. Teraz wydaje mi się to zaskakujące: wojna jeszcze trwała w Europie, a w Bydgoszczy nastąpiła już w dużym stopniu normalizacja życia. Ludzie chodzili do pracy, funkcjonowały urzędy i kościoły, działały organizacje społeczne i polityczne.

Parę dni po wyzwoleniu Bydgoszczy pojawiło się na Asnyka kilku żołnierzy rosyjskich. Zobaczyłem ich, jak wchodzili do domu naprzeciwko, otoczeni gromadką dzieci. Dom był pusty, niezamieszkały. Dołączyłem do nich z moją starszą siostrą Danką. Rosjanie chodzili od mieszkania do mieszkania. Mieli ze sobą duże miechy [worki], do których chowali niektóre przedmioty. Część rzeczy rzucali dzieciom, używając przy tym nieznanego słowa – *bieri*. Kiedy przeszukali mieszkanie na parterze, weszli wyżej na pierwsze piętro, później na drugie. Niektóre dzieci coś brały, ja, nie wiedzieć dlaczego, nic nie dostałem czy też nie wziąłem do domu. Później poszliśmy do następnej willi na ulicy Kopernika. Żołnierze wyrzucali znowu rzeczy z szaf, sporo się przy tym śmiali, nam dzieciom też było wesoło. W domu tym Ruski znaleźli w kuchni tytkę z cukrem. Jeden z nich podał jakiejś dziewczynce cukier i powiedział: – *Nu, riebiata*. Dzieci rzuciły się na ten cukier i po chwili cała zawartość torebki została zjedzona. Rosjanie mówili sporo w nieznanym mi języku, ale zapamiętałem najczęściej używane słowa – *job twoju mać*. Dostałem od nich sporo ołowianych żołnierzyków. W kolejnej willi znowu dali mi ołowiane żołnierzyki i metalową formę do ich odlewania. W ten sposób chodziliśmy może z dwie godziny po domach, potem przybiegła do nas babcia z pretensjami, że powinniśmy już być w domu. Następnego dnia stałem w bramie naszego domu. W pewnym momencie zatrzymał się przed furtką chłopiec, który był w grupie chodzącej poprzedniego dnia po domach z Rosjanami. Mógł mieć 12 lat. Przyniósł ze sobą pokrytego skórą konia na biegunach. Postawił go na ganku i zapytał, czy mi się podoba. – *Jak ci się podoba, to go bierz, dostałem go od Rusków, dla mnie jest za mały* – powiedział. – *A gdzie ma uszy?* – zapytałem. – *Uszy nieważne, bez uszu też jest ładny*. Wziąłem konia, mimo że nie miał uszu. Długo nie nacieszyłem się tym koniem. Od huśtania się na biegunach porysowałem podłogę w wielu miejscach i babcia wyniosła konia do piwnicy. Wkrótce przyjechali do nas polscy żołnierze. Jak wspominał po latach ojciec, byli to w większości oficerowie ze sztabu dywizji. Nie wiem dokładnie, ilu ich było, sadzę, że kilkunastu. Rodzice rozlokowali ich

po wszystkich piętach, a dodatkowo jeszcze w suterenie. U nas na pierwszym piętrze spało kilku oficerów wyższej rangi. Spali w jadalni, tylko dwóch na tapczanach, innemu mama zrobiła posłanie na bufecie, a jeszcze inny spał na stole. Oficerowie kwaterowali u nas tydzień, a kilku żołnierzy jeszcze dłużej. Zwykli żołnierze ulokowani byli w suterenie. Babcia opowiadała, że jeden z oficerów musiał być chyba hrabią, bo był bardzo elegancki, szarmancki i nigdy nie przeklinał. Dzisiaj wiem, że mógł to być przyszły profesor Uniwersytetu Warszawskiego doktor weterynarii Eugeniusz Domański, który zatrzymał się u nas w domu po zwolnieniu go z oflagu w Woldenbergu [Dobiegniew]. Ze zwykłych żołnierzy zapamiętałem tylko szofera Bolka, mówiącego śmiesznym kresowym akcentem. Bolek był ulubieńcem dzieci, zawsze uśmiechnięty i skory do żartów. Podjeżdżał z fantazją swoim studebakerem pod nasz dom, przeważnie z jakimiś prezentami dla dzieci. Babcia doszukała się nawet pokrewieństwa z nim od strony matki, z domu Czajkowskiej. Kiedyś przywiózł swoim autem kilkanaście owiec. Zaszlachtowali je u nas w pralni mieszczącej się w piwnicy. Spora część skopowiny przypadła nam. Bolek miał do nas przyjechać po wojnie ustalać dalej parantele pokrewieństwa z babcią. Niestety, nie przyjechał. Ojciec twierdził, że został zabity w kwietniu 1945 r. podczas szturm Berlina. Na wiosnę 1945 r. zaczął zaludniać się nasz dom. Najpierw na drugie piętro wprowadził się porucznik Jerzy Orkiszewski. Brał udział w powstaniu warszawskim. W wojsku był krótko, później został redaktorem w „Ilustrowanym Kurierze Polskim”. Z inicjatywy Stronnictwa Demokratycznego powołano w 1946 r. Związek Młodzieży Demokratycznej. Orkiszewski został pierwszym przewodniczącym tej organizacji. Pamiętam, że bywał w naszym mieszkaniu w celach towarzyskich. Lubił wpadać do nas rano z pustą kanką na mleko w drodze do składu [sklepu] spożywczego na rogu Mickiewicza i placu Weyssenhoffa. Ubrany był w elegancki wojskowy mundur. Moją uwagę zwróciły czarne błyszczące sztyfle [oficerki], których góra znajdowała się mniej więcej na wysokości moich oczu. Orkiszewski w trakcie rozmowy z moją mamą lub babcią miał zwyczaj wymachiwania trzymaną w ręku kanką, opadającą co jakiś czas łagodnie na jego prawe kolano.

W tym czasie przenieśliśmy się z pierwszego piętra na parter, ponieważ do naszego domu wprowadził się kuzyn ojca Zygmunt Matecki ze swoją mamą, ciocią Stefcią. Rodzice uzgodnili z Zygmuntem, że z uwagi na liczną gromadkę dzieci będzie nam wygodniej mieszkać na parterze, a jemu na pierwszym piętrze. Zygmunt był synem Władysława Mateckiego, współwłaściciela (razem z bratem Czesławem) przedwojennego Domu Towarowego Bracia Mateccy na Starym Rynku. Kończył przed wojną prawo. Najpierw był prokuratorem, później przeszedł do adwokatury. Po kilku latach wujek ożenił się z Mileną Alberti z Krakowa. Nowa

ciocia była wdową po polskim lotniku Stefanie Albertim, który zginął w czasie bitwy powietrznej o Anglię. Mimo zawarcia związku małżeńskiego na drzwiach mieszkania przymocowane były dwie tabliczki: na jednej wygrawerowano – Zygmunt Matecki, na drugiej – Milena Alberti. Znaleźli się amatorzy na mieszkaniu w suterenie, spełniające przed wojną rolę tzw. służbówki, czyli lokalu, w którym mieszkał dozorca domu z rodziną. Zgłosiła się rodzina Szendlów z trójką dzieci: dwiema córkami, Sabiną i Genią, oraz synem Rajmundem. Pochodzili oni z Włocławka. Piszę o Szendlach więcej, ponieważ Rajmund, chociaż starszy ode mnie o 4 lata, był towarzyszem moich dziecięcych zabaw. Spełniał też trochę rolę mojego opiekuna, z której dzisiaj, z perspektywy kilkudziesięciu lat, mogę powiedzieć – wywiązywał się dobrze. Wiosną i latem 1945 r. często spotykałem w naszej okolicy żołnierzy rosyjskich. Kręcili się na ogół dwójkami, wydaloby się bez określonego celu. Mama nazywała Rusków karaluchami, która to metafora miała jej przypominać zachowanie karaluchów obserwowanych kilka miesięcy przedtem w naszym domu na Chłopickiego. Pewnego wiosennego poranka dwóch Rusków znalazło się na naszym podwórzu. Usiedli w pobliżu śmietnika na starej leżance wyrzuconej przez któregoś z sąsiadów i siedzieli. W pewnym momencie wyciągnęli z kieszeni gazetę, oderwali z niej kawałek, nasypali na papier machorkę i skręcili papierosy. Zapalili skręty i mocno się zaciągnęli. Rozszedł się duszący zapach tytoniu. Nie wiadomo, co chcieli. Mama poleciła mi zanieść im dwa kubki wody, myśląc może, że po zaspokojeniu pragnienia pójdą sobie dalej i pozbędzie się ich. Rosjanie wypili wodę i poprosili o jeszcze. Przyjrzałem się żołnierzom, jeden był starszy, drugi młodszy. Ten starszy głaskał mnie po głowie i mówił: – *Synok, synek, damoj*. Mieli karabiny, jeden wyposażony był w skórzany pas, drugi zwykły sznurek. Nigdy nie widziałem karabinu na sznurku, więc niepomniernie mnie to zaciekało. Po jakimś czasie poszli. Następnego dnia babcia zauważyła brak dwóch rowerów stojących u nas w piwnicy. Podejrzanie padło na tych dwóch Rusków. Czy to oni ukradli rowery, tego nie wiem. Rowery w każdym razie zniknęły. Kilka dni później ojciec zrobił dobry interes z Rosjanami. Za pół litra wódki sprzedali mu kradzione, być może w sąsiednim domu, radio z magicznym oczkiem marki Telefunken. Służyło nam wiele lat.

A teraz przedstawiam pewną dygresję związaną z karabinem na sznurku, wybiegającą czasowo poza granice moich wspomnień. Nie spodziewałem się, że z karabinem na sznurku jeszcze się kiedyś zetknę. W 1967 r., 22 lata później, oglądałem w Krakowie wystawę haftu chińskiego zorganizowanego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Chińskiej Republiki Ludowej. Był to szczyt rewolucji kulturalnej w Chinach. Zgromadzono kilkadziesiąt obrazów o tematyce rewolucyjnej. Podziwiałem kunszt ludowych hafciarzy z wiejskich komun. Jeden duży

obraz z Mao Tse-tungiem, w otoczeniu przedstawicieli bodajże 120 narodowości, artyści podobno haftowali przez trzy lata. Szczególną uwagę zwrócił mniejszy obraz przedstawiający kobietę w wojskowym zielonym drelichu z zawieszonym na ramieniu karabinem na sznurku. Obraz był zatytułowany „Nie suknia zdobi kobietę, lecz karabin!”. Wystawę rewolucyjnego haftu chińskiego zamknięto na trzeci dzień od jej otwarcia ze względów politycznych. Nasza rewolucja kulturalna, na miarę Polski Ludowej, już minęła, za Stalina!

W lipcu 1945 r. zostaliśmy wysiedleni z naszego domu na Asnyka, tym razem przez Rosjan. Usunęli mieszkańców wszystkich domów z całej ulicy. W domach zostali zakwaterowani oficerowie sowieccy. Z obu stron ulicy Asnyka: od Kopernika i Alei Ossolińskich Rosjanie postawili coś w rodzaju barykad. Tworzyły je meble zabrane z mieszkań na Asnyka i sąsiednich ulic. Meble przykryte były płachtami brezentu. Nasza rodzina przeniosła się do mieszkania służbowego znajdującego się w budynku Archiwum Państwowego na ulicy Dworcowej 65. Mieszkanie na drugim piętrze składało się z dwóch pokoiów i kuchni. Muszę przyznać, że miło wspominam ten pobyt. Dla pięcioletniego chłopca przebywanie w gmachu instytucji wydawało się bardzo atrakcyjne. Archiwum wydawało się prawie puste. Pamiętam, że na kilku półkach zamiast akt archiwalnych stały niemieckie hełmy i gazmaski. Hełmy posiadały z boku czerwono-czarno-białe oznaczenia wojskowe w kształcie małej tarczy. W niektórych hełmach znajdowały się skórzane podpinkiny ochronne, w innych brakowało tego elementu. Wielokrotnie wkładałem hełmy na głowę, podobnie zresztą jak gazmaski. Maski bardzo szczelnie przylegały do mojej głowy, czasami wydawało mi się, że się w nich uduszę. Ściąganie z głowy też stanowiło torturę, bo mocno przylegająca do skóry guma wrywała włosy. W drewnianej skrzyni w kącie jakiejś sali składowano kilka karabinów, tyle że bez zamków. Sale archiwalne stanowiły dla mnie labirynt. Przez dłuższy czas zdarzało mi się błądzić w korytarzach pomiędzy regałami. Ciekawe doznania stanowiły fosforyzujące na seledynowo oznaczenia na ścianach sal archiwalnych. Charakterystyczny dla Archiwum był duszący zapach akt pokrytych kurzem. Początkowo ten zapach wydawał mi się nieznośny, stopniowo jednak się do niego przyzwyczajałem. Jedną z większych atrakcji Archiwum były metalowe, kręte schody prowadzące na poddasze. Schody miały wysokie stopnie i pięły się pionowo w górę. Ojciec zabronił mi chodzenia po nich ze względów bezpieczeństwa. Niepomny jednak na przestrogi, wielokrotnie zapuszczałem się w zakazane rewiry. Najbardziej interesowały mnie jednak gołębie pocztowe hodowane na poddaszu przez woźnego Floriana Miniszewskiego. Miał ich kilkadziesiąt, potrafił długo o nich opowiadać, niektóre miały swoje imiona. Miniszewski jeździł z nimi na wystawy i konkursy. Na loty do punktu startowego

dowoził je na ogół sam pociągiem. Czasami wyręczali go w tym jego koledzy hodowcy. Loty powrotne gołębi do Bydgoszczy nie zawsze kończyły się szczęśliwie. Najwięcej strat wśród gołębi powodowały jastrzębie. Miniszewski był dla mnie bardzo miły, a nawet serdeczny. Na stosunek do mnie miała niewątpliwie wpływ pozycja ojca w archiwum, który bądź co bądź był jego zwierzchnikiem. Miniszewski był pierwszym pracownikiem, którego ojciec zatrudnił po wojnie w archiwum. Z dokumentów wynika, że było to 8 lutego 1945 r. Z zawodu był stolarzem, przed wojną i w czasie okupacji pracował w warsztacie meblarskim. Kwalifikacje stolarskie i zdolności techniczne Miniszewskiego okazały się bardzo przydatne w codziennej pracy. Miniszewski był majstrem od wszystkiego, potrafił nie tylko reperować meble, ale także zająć się hydrauliką i instalacją elektryczną. Najciekawszym urządzeniem w gabinecie dyrektorskim dla mnie był duży metalowy, srebrno-czarny telefon ze słuchawką umieszczoną na wysokiej nóżce, uwieńczonej srebrnymi widelkami i kolorowym znakiem Poczty Polskiej na skrzynce. Aparat telefoniczny stanowił dla mnie nie lada atrakcję. Od czasu do czasu brałem do ręki słuchawkę i udawałem, że z kimś rozmawiam. Telefon w domu mieliśmy dopiero od 1957 r. Po kilku latach, na mocy odgórnego zarządzenia, ten piękny telefon zastąpiono tandetnym czarnym ebonitowym aparatem. Odtąd w urzędach i zakładach pracy w całej Polsce wszyscy mieli jednakowe aparaty telefoniczne. W ten sposób stopniowo w różnych dziedzinach życia zastępowano przedwojenne „kapitalistyczne” urządzenia, socjalistyczną, niby-nowoczesną, wytwarzaną z plastiku i dykty, tandetą.

Podobnie było ze skrzynkami pocztowymi. Po wojnie wrzucaliśmy listy do solidnych, kutych z żelaza i bogato zdobionych czerwonych skrzynek, które pewnie pamiętały jeszcze czasy „Wilusia”. W okolicy Asnyka takie skrzynki wisiały na budynku Instytutu Rolniczego na placu Weysenhoffa i z drugiej strony, na rogu ulicy Kopernika i ówczesnej ul. Prezydenta Woodrowa Wilsona (później Lucjana Szenwalda). Nasz listonosz twierdził, że żelazne skrzynki kradli handlarze złomem, stąd zaistniała konieczność instalacji tańszych blaszanych skrzynek. Z ulic zniknęły także charakterystyczne srebrne lub złote talerze wieszane nad wejściem do zakładów fryzjerskich. Fryzjerzy narzekali, że talerze nagminnie kradli złodzieje, względnie niszczyli wandale.

Jesienią 1945 r. w Archiwum obserwowałem z zaciekawieniem operację znoszenia z pierwszego piętra na podwórze metalowych kas pancernych Banku Rzeszy, które, nie wiadomo dlaczego, składowano w archiwum. Kasy miały być przekazane do Narodowego Banku Polskiego. W przekazywaniu uczestniczyli przedstawiciele tego banku. Kasy wykonane z litego żelaza dźwigało kilku krzepkich robotników. Z trudem udało im się je znieść. Kasy były zamknięte. Powstał

problem ich otwarcia, a brakowało kluczy. Bank nie chciał zabierać zamkniętych kas. Zaczęto poszukiwać ślusarza. Znaleziono podobno dwóch, ale żaden nie podjął się otworzenia kas bez ich uszkodzenia. Ojciec wpadł na pomysł, aby skorzystać z pomocy doświadczonego przedwojennego ślusarza o nazwisku Lueck, który w okresie międzywojennym mieszkał niedaleko domu moich rodziców na ulicy Grunwaldzkiej. O dziwo, Lueck bez większego trudu otworzył wszystkie kasy. Kasy były puste! Pozostał jeszcze problem załadowania ich na auto ciężarowe. Samochód nie mógł podjechać zbyt blisko miejsca, gdzie postawiono kasy, bo dojazd blokowało potężne drzewo, orzech włoski, rosnące na podwórzu. I w tym przypadku pomógł Lueck. Przyniósł skądś metalowe rurki, na które postawiono kasy. Później dopchano je do stojącego o kilkanaście metrów auta, podsuwając pod nie metalowe rurki spełniające funkcję transportera. Akcja otwierania kas, przesuwania ich i załadunku na samochód trwała kilka godzin.

W 1945 r. pomagała mamie w opiece dziećmi pani Smejowa. Rodzice znali ją jeszcze sprzed wojny. Dzięki pani Smejowej poznawałem Bydgoszcz. Najczęściej urządziła nam wycieczki na cmentarz na Bielawach. Miejsce beztrudnej zabawy stanowiły przycementarne wydmy położone między kaplicą a torami kolejowymi. Drobny, jasnożółty piasek na wydmach stanowił doskonale miejsce do dziecinnych igraszek. Największą atrakcją dla nas, dzieci, było kulanie się w dół z krawędzi wydmy. Przy okazji wizyt na cmentarzu pani Smejowa opowiadała nam mrozące krew w żyłach opowieści o duchach. Kiedyś poszliśmy z nią na Jachcice do kąpieliska nad Brdą. Kąpielisko, zwane też plażą, zajmowało piaszczysty teren przed elektrownią. Starsi kąpali się w rzece, w miejscu, w którym do Brdy wpadała ciepła woda z elektrowni, płynąca kanałem zwanym korytkiem. Korytko miało betonowe dno i boki. W dolnej części kanału, tuż przed ujściem wody do rzeki, umocowana była żelazna krata. Strumień wody płynął wartko w dół kanału po stromym zboczu. Z korytka korzystały przede wszystkim dzieci. Czasami strumień wody był tak silny, że stojąc, trudno było utrzymać równowagę na śliskim dnie. Niejeden plażowicz podarł sobie badejki, zjeżdżając w dół po kamienistym dnie.

W połowie grudnia 1945 r. Rosjanie opuścili ulicę Asnyka. Gwiazdkę spędziliśmy już w naszym domu na Asnyka. Większość mebli przechowywana była u krewnych i znajomych, część przywieźliśmy z Archiwum. Nasze mieszkanie wydawało niezbyt mocno zniszczone. Wyjątek stanowiła łazienka, którą przekazano nam zaniedbaną i brudną. Niestety, kilka tygodni po opuszczeniu mieszkania przez Rosjan pod tapetą jednego z pokoiów znaleźliśmy pluskwy. Tapetę trzeba było zerwać i przeprowadzić dezynsekcję mieszkania. Podczas dezynsekcji okazało się, że i w pozostałych pokojach zagnieździły się pluskwy. Rodzice zrażeni

do tapet przez następne kilka lat nie kładli ich na ścianach, przestali na malowaniu. Po wyprowadzce z Archiwum nadal bywałem tam częstym gościem. Kiedy skończyłem 7 lat, zacząłem przychodzić do Archiwum samodzielnie. Powód moich wizyt stanowiły nadal gołębie woźnego Miniszewskiego. Siostry w ogóle nie bywały w Archiwum, ponieważ chodziły do szkoły, a ponadto nie widziały tam dla siebie nic interesującego.

Ulubionym celem moich spacerów w pierwszych latach po wojnie był dziedziniec Gimnazjum Miejskiego na ulicy Staszica. Główne wejście do szkoły znajdowało się od strony Staszica, jednak tak daleko, jak tylko sięga wstecz moja pamięć, na szkolny dziedziniec można było się dostać poprzez dziurę w drucianym płocie od strony Kopernika. Od mojego domu do dziury dystans wynosił nie więcej niż 100 metrów. Na szkolnym podwórku uwagę moją zwróciła kamienna studzienka, stojąca niedaleko od wejścia do szkoły od strony podwórza i boiska szkolnego. W środku studzienki stał zanurzony w wodzie postument uwieńczony kamienną kulą ziemską. Na kuli zarysowano kontury wszystkich kontynentów. Studzienka posiadała dopływ i odpływ świeżej wody. Przepływająca wokół kuli ziemskiej woda bulgotała i tworzyła liczne bąbelki. Piękne urządzenie przetrwało I i II wojnę światową, ale nie przetrwało ciężkich czasów Polski Ludowej. Najpierw przestała działać instalacja wodna, później ktoś ukradł kulę ziemską, potem przewrócono postument, a wreszcie zniknęła cała studzienka. W 1946 r. byłem świadkiem wielkiej uroczystości harcerskiej na boisku Gimnazjum Miejskiego. Uczestniczyli w niej harcerze i drużyny z całej bydgoskiej chorągwi. Złot harcerzy przypominał wesołą zabawę młodzieżową: grała orkiestra wojskowa, słychać było dźwięk fanfar i miarowy rytm wybijany na werblach. Harcerze nosili zielone mundurki, czarne podkolanówki z białymi wylogami zakończone pomponami i czarne buty. Dziewczęta miały szare mundurki. Każda drużyna posiadała własny trójkątny proporzeczek osadzony na brązowym drzewcu. Na ramionach harcerzy widać było różnokolorowe chusty. Najbardziej podobały mi się tęczowe chusty jednej z drużyn. Przemawiali różni oficjele. Największe brawa zebrał harcmistrz o nazwisku Zagłoba. Przemawiał głośno i dobitnie. Ja, mały chłopiec, kręciłem się wśród tych pięknych harcerzy i marzyłem, żeby kiedyś w przyszłości zostać jednym z nich. Zamiast tego w 1951 r. wszystkich uczniów z mojej klasy zapisano do organizacji, która tylko z nazwy przypominała harcerstwo. Stalinowskie harcerstwo wzorowano na sowieckiej organizacji pionierskiej. Był nawet problem z kupnem zielonego harcerskiego mundurka. Mama znalazła kierownika sklepu sportowego i harcerskiego KDH (Komisja Dostaw Harcerskich) na 1 Maja 26, który odłożył dla mnie odpowiedni mundurek. W tych czasach nie było już kolorowych chust. Wszyscy harcerze nosili jednakowe – czerwone. Kiedyś

pojechałem na trzydniowy obóz zorganizowany w lesie w okolicach Bydgoszczy. Bardzo cieszyłem się na ten wyjazd. Przyjechałem jednak mocno zawiedziony. Nauczyciele nie bardzo wiedzieli, co z nami robić. Pamiętam, że raz mieliśmy ognisko i pogadankę o życiu radzieckich pionierów.

Najbliższym moim kolegą z dzieciństwa był wymieniony już Rajmund Szen-del. W związku z tym, że Szendlowie byli naszymi sąsiadami, Rajmunda widywałem prawie codziennie. Dzięki niemu poznawałem Bydgoszcz. Rajmund był ode mnie starszy o cztery lata. Taka różnica w wieku dziecięcym oznaczała sporo. Wędrowałem z Rajmundem po prawie całym mieście. Przeważnie jeździliśmy tramwajami lub autobusami. Szczególnie upodobaliśmy sobie jazdę autobusem na trasie osiedle Leśne – lotnisko na Polach Ułańskich (Blonie). Jakiś czas po wojnie obsługiwały tę linię żółtawo-brązowe autobusy marki Buessing NAG napędzane gazem świetlnym (Leuchtgas). Niektórzy ludzie nazywali te autobusy trambusami. Jak się później dowiedziałem, Zarząd Miasta Bydgoszczy kupił je w 1943 r. w filii fabryki Buessing w Elblągu (przedstawicielstwo handlowe firmy było także w Bydgoszczy). Miały charakterystyczny klockowaty kształt, ponieważ na dachu pojazdu mieścił się zbiornik gazu. Okazało się, że silniki napędzane gazem nie miały dużej mocy. Zdarzyło się kilka razy, że w połowie Szubińskiej autobus się zatrzymywał, pasażerowie wysiadali... i pchali go w górę ulicy. Dzięki Rajmundowi nauczyłem się grać w szachy, które na wiele lat stały się moją namiętnością. Graliśmy też w różne gry planszowe, w szczególności w grę o nazwie loteryjka flagowa. Moją pasją stało się też zbieranie znaczków pocztowych. Ojciec podarował mi obrazkowy album, do którego wklejało się znaczki. Przed wklejeniem znaczka należało podkleić do niego cienki, przyklepny papierek nazywany tiksobandem i umieścić go na odpowiednim obrazku. Niestety, zbieranie znaczków miało też i negatywne konsekwencje. Rajmund odkrył, że do posiadania znaczków można dojść także w sposób nieuczciwy. Na początku ulicy Świętojańskiej po prawej stronie znajdował się sklep filatelistyczny prowadzony przez starszego siwego pana, nazwanego przez chłopców Dziadkiem. Chłopcy wyczuli, że Dziadek jest trochę nieporadny, więc łatwo można go oszukać przy okazji zakupów znaczków. Proceder kradzieży znaczków pocztowych nazywaliśmy, nie wiadomo dlaczego, chibaniem. Miałem opory przed kradzieżą, ale mój przyjaciel Rajmund opory te przełamał twierdząc, że chibanie nie jest kradzieżą, a tylko pożyczaniem znaczków. Technika kradzieży była mało wyszukana: Dziadek pokazywał znaczki, wykładając je na ladę, a kiedy na chwilę się odwracał, przesuwalem znaczki na koniec lady i wrzucałem je prawą ręką do spodni zakończonych w pasie gumką. Byłem małym 9-letnim chłopcem, trochę za niskim, aby precyzyjnie wrzucić znaczki do otworu utworzonego po odgięciu góry spodni.

Kiedyś wpadłem, Dziadek zauważył moje manewry i zażądał wyjęcia znaczków ze spodni. Bardzo zawstydzony oddałem mu znaczki i obiecałem, że nigdy nie ukradnę mu już żadnego znaczka – obietnicy dotrzymałem. Kilka lat później Pan Bóg mnie pokarał, bo sam stałem się ofiarą kradzieży znaczków pocztowych. Znaczki, znajdujące się w dwóch albumach, ukradli mi koledzy z klasy, których nieopatrznie wpuściłem kiedyś do domu.

Tuż po wyzwoleniu Bydgoszczy spod okupacji niemieckiej ojciec zaangażował się w działalność Komisji Badania Zbrodni Niemieckich (później Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich), przez długie lata był jej wiceprzewodniczącym. Najważniejszym zadaniem Komisji w pierwszych powojennych latach było ustalenie miejsc, w których znajdowały się ciała pomordowanych Polaków, przeprowadzenie ich ekshumacji i umieszczenie w zbiorowych mogiłach. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, abym towarzyszył ojcu w jego wyjazdach do miejscowości, w których znajdowały się ciała pomordowanych. Prawdopodobnie ja sam wymogłem na nim, aby mnie tam zabierał. Nie chodziłem wtedy jeszcze do szkoły, więc rodzice uważali, że nie ma przeszkód, abym jeździł na te swoiste wycieczki krajoznawcze. Dla kilkuletniego chłopca największą atrakcją były przejazdy samochodami. Do miejscowości, w których przeprowadzano ekshumacje, członkowie komisji w pierwszych powojennych latach jeździli na ogół wojskowymi samochodami ciężarowymi lub półciężarowymi kierowanymi przez wojskowych kierowców. Na wyposażeniu polskiej armii były głównie auta amerykańskie: studebakery, dodge i chevrolety canada. Te ostatnie miały charakterystyczne płaskie maski przypominające spłaszczone nosy buldogów. W latach 1945-1948 odbyłem kilka podróży do różnych miejscowości na terenie województwa bydgoskiego, na pewno jeździłem do Trzyczyna, Fordonu, Chojnic i Tucholi oraz Lasu Gdańskiego. Poznałem wielu członków Komisji, między innymi przewodniczącego Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich dr. Tadeusza Piziewicza i redaktora Józefa Kołodziejczyka. Redaktor Kołodziejczyk prowadził biuro Komisji mieszczące się w lokalu przy ulicy Chrobrego 12. Ojciec polecił mi, abym w trakcie ekshumacji starał się trzymać dalej od miejsc straceń. Na ogół przestrzegałem poleceń ojca. Wiedziony jednak dziecięcą ciekawością poznawania świata, niezauważony przez dorosłych, podszedłem kilka razy bliżej do mogił. Wbił mi się w pamięć wyjazd do Trzyczyna. Jechaliśmy autem przez wiadukt na ulicy Szubińskiej, przejeżdżaliśmy obok lotniska. Blisko płotu oddzielającego teren lotniska od szosy zauważyłem liczne wraki samolotów. Wraki zgromadzone były w jednym miejscu, prawdopodobnie w związku z porządkowaniem terenu lotniska. Z wyjazdem do Tucholi łączę wspomnienie widoku odkopanego masowego grobu pomordowanych cywilów. Miejsce to położone było

na skraju lasu. Była wczesna jesień, pogodny, słoneczny dzień. Odkopany w żółtym piasku grób miał kształt prostokąta, mógł mieć kilkanaście metrów długości i kilka metrów głębokości. Zwłoki ułożono równo warstwami, ciała przekładane były piachem. Nie pamiętam, ile było tych warstw. Zachowałem w pamięci obraz od strony nóg ofiar. Zabici, którzy leżeli na zewnątrz grobu, mieli na nogach czarne oficerki.

Od lutego 1945 r. ojciec działał w Stronnictwie Demokratycznym. Przy końcu miesiąca wybrano go do Zarządu Wojewódzkiego SD, a w latach następnych do Wojewódzkiego Komitetu SD. W czerwcu 1950 r. Wojewódzki Komitet SD powierzył mu stanowisko przewodniczącego WK SD. W tym czasie sekretarzem Wojewódzkiego Komitetu SD w Bydgoszczy był poseł Eugeniusz Czechowicz, zasiadający w sejmie z opolskiego okręgu wyborczego. Czechowicz miał do dyspozycji piękną granatową limuzynę marki Chevrolet Fleetmaster. Z auta korzystali także inni członkowie Prezydium WK SD, w tym mój ojciec. Ojciec sporo jeździł po województwie bydgoskim, obsługując terenowe posiedzenia instancji miejskich i powiatowych SD. Zabierał mnie od czasu do czasu ze sobą do różnych miejscowości na terenie województwa. Kiedy uczestniczył w zebraniach, ja zwiedzałem miasto, często w towarzystwie zatrudnionego wtedy w WK SD szofera o nazwisku Klajbor. Stanowił on dla mnie ciekawą postać. Po pierwsze, był kierowcą i potrafił mówić ciekawe rzeczy o samochodach, po drugie, brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Dowiedziałem się od niego, że w bitwie tej uczestniczył jako szofer auta ciężarowego. Kiedyś, jadąc samochodem w towarzystwie innego członka SD, zacząłem wypytywać go o jakieś szczegóły związane z bitwą pod Monte Cassino. Wyczułem, że był niezadowolony z pytania. Kiedy dojechaliliśmy na miejsce i zostaliśmy sami powiedział mi, żebym nigdy w obecności innych osób nie pytał go o Monte Cassino. Zapytałem go, czy przy moim ojcu mogę pytać o tę bitwę. Odpowiedział, że tak.

Na wiosnę 1947 r. pojechałem do Wrześni odwiedzić moją prababcie Stanisławę Śmidowicz, z domu Czajkowską. Podobno chciała jeszcze przed śmiercią poznać swojego prawnuka. Miała wtedy 88 lat i mieszkała z córką, Bronisławą Matuszewską, z domu Śmidowicz. Ciocia Bronia była przywódczynią strajku dzieci wrzesińskich w latach 1901 i 1902, skierowanego przeciwko germanizacji szkół, głównie przeciw modlitwie i nauce religii w języku niemieckim. Prababcia zrobiła na mnie przerażające wrażenie: mała, pomarszczona, skręcona nienaturalnie w kabląk. Stała z laską w ręce, skurczona we dwoje, nie widziałem w zasadzie jej twarzy, bo głowę miała zbyt nisko pochyloną. Wyglądała jak wiedźma. Twarz zobaczyłem dopiero, jak usiadła w fotelu. Z pozycji siedzącej wyglądała znacznie lepiej, uśmiechała się do mnie bezzębnyimi ustami. Zapytała mnie, czy chcę znać

sekret jej długowieczności. Skinąłem twierdząco głową. Powiedziała mi, że od wielu lat jada głównie suchy chleb i popija czystą wodą. Zmarła dwa lata później w wieku 90 lat. Mężem cioci Broni był mistrz krawiecki Aleksander Matuszewski. Widziałem go kilka razy przy pracy. Miejsce jego pracy, w sensie dosłownym, stanowił stół, na którym siedział i wykańczał igłą części męskiej garderoby.

W kamienicy przy ulicy Gdańskiej 47 (później Aleje 1 Maja) na pierwszym piętrze mieszkał brat mojej mamy i jednocześnie mój ojciec chrzestny – wujek Zbyszek Nowakowski z rodziną. Wujek miał czterech synów: Andrzeja, Rysia, Wojtkę i Marka. Bywałem tam częstym gościem. Dom wybudowano w 1912 r. Na początku lat dwudziestych kupił go wraz z obszernym placem ciągnącym się prawie do ulicy Pomorskiej Bernard Stark pochodzący ze Żnina. Na parterze w prawej części domu otworzył sklep o nazwie „Skład Żelaza K. Stark”. Litera „K” w nazwie firmy miała przypominać imię założyciela składu żelaza w Żninie – Karola Starka. Sklep oferował artykuły metalowe, narzędzia, sprzęty kuchenne i okucia budowlane. Mój wujek ożenił się przed wojną z córką Bernarda Starka, Janiną. Po śmierci Bernarda firmę przejął jego młodszy brat, Klemens. Do firmy K. Stark należał także skład żelaza mieszczący się w kamienicy przy ulicy Mostowej 2. W 1939 r. przedsiębiorstwo postawiono w stan likwidacji. W roku następnym likwidator sprzedał je za kwotę 40 000 RM Niemcowi z Gdyni o nazwisku Herbert Lyra. Po II wojnie światowej sklep przejęło państwo. Pod nazwą MHD „Hutnik” funkcjonował do 1968 r., kiedy to wywłaszczono dotychczasowych właścicieli posesji przy ul. Gdańskiej 47, a dom wyburzono. Sklep „Hutnik” przeniesiono na ulicę 3 Maja. W planach zagospodarowania miasta na działce należącej do mojego wujostwa przewidziano wybudowanie szkoły podstawowej. Plany wkrótce uległy zmianie i całą działkę należąca niegdyś do rodziny Starków przejęło BSS „Społem”. W miejscu tym wybudowano wieżowiec należący dziś do „Społem”, a w głębi podwórza sklep „Rywał”.

Najmłodszy z braci Starków, Karol, był właścicielem drogerii „IRIS”, mieszczącej się na rogu ulicy Świętojańskiej i Gdańskiej. Karol Stark miał także udział w spółce Polskie Zakłady Kauczukowe „SIPHONIA”. Siedziba spółki mieściła się przy ul. Nakielskiej 129/131. Na początku sierpnia 1939 r. w fabryce wybuchł pożar, w wyniku którego zabudowania przedsiębiorstwa uległy całkowitemu zniszczeniu. Na drugim piętrze kamienicy przy Gdańskiej 47 mieszkał artysta plastyk Józef Makowski. Na parterze w tyle budynku mieściła się pracownia, w której Makowski tworzył swoje dzieła. Na dziedziniec posesji wjeżdżało się poprzez drewnianą dwuskrzydłową bramę wjazdową umocowaną do dwóch kolumn, uwieńczonych fantazyjnie zdobionym łukiem. Obok bramy stał murowany budyneczek. Nie była to zwykła, ordynarna buda, ale murowana budowla

wkomponowana ze smakiem w otoczenie. Budynek był siedzibą firmy spedycyjnej Alojzy Wołkowski. Przedsiębiorstwo Wołkowskiego funkcjonowało jeszcze przed wojną. W czasie okupacji firmę przejął niemiecki powiernik (Trauhändler) Max Herzke i prowadził ją pod nazwą Spedition Moebeltransport Lagerung Fa. Wołkowski. Przedsiębiorstwo Wołkowskiego specjalizowało się w transporcie mebli wozami konnymi. Z tyłu podwórza położona była stajnia. W samym środku dziedzińca stało kilkadziesiąt drewnianych wozów do przewożenia mebli. Miejsce to nazywano wozownią. Obok znajdowało się kilka sporych rozmiarów szop, służących jako magazyny do składowania mebli. Na dachu jednej z szop postawiono drewnianą, gustownie zrobioną wieżyczkę, w której znajdował się gołębnik. Wieżyczka miała liczne zdobienia, a okrągły daszek przypominał kopułę, jaką spotykało się w kościołach nad amboną. Gołębnik mógł mieć około 6 metrów wysokości. Jak daleko sięgam pamięcią, nikt nie hodował tam gołębi. W miarę upływu lat popyt na usługi przewozowe malał. Wozy meblowe stały bezużytecznie na podwórzu. Na początku lat pięćdziesiątych Wołkowski kupił pierwsze auto ciężarowe. Transport konny powoli zanikał. Podwórze stanowiło idealny teren do dziecięcych zabaw. Ulubioną zabawą była gra w chowanego. Najczęściej chowaliśmy się we wnętrza wozów meblowych.

W wieku kilkunastu lat zmieniły się nasze dziecięce zainteresowania, zaczęliśmy uprawiać sport. Najciekawsze dla mnie były wyścigi na rowerach, które urządzaliśmy wokół wozowni. Graliśmy też w typowe gry dla tamtego okresu: palanta, kluskę [klipę], dwa ognie, oczywiście w fuchę, czyli piłkę nożną.

Bodajże w połowie 1946 r. mój dziadek, burmistrz Golubia w okresie międzywojennym, Ludwik Nowakowski, otworzył w tylnej części posesji fabrykę zabawek. Termin fabryka jest być może trochę na wyrost, niemniej w budynku położonym blisko ulicy Pomorskiej produkowano drewniane zabawki. Dziadek miał duży talent artystyczny. Jeszcze przed wojną rzeźbił dla wnuków różne figurki w drewnie. Wojnę przetrwał kilkupiętrowy drewniany dom dla lalek zrobiony dla mojej siostry Ewy. W fabryczce pracowało dwóch, może trzech stolarzy. W malowaniu zabawek pomagała dziadkowi od czasu do czasu moja mama. Pomieszczenie produkcyjne mieściło się kilkanaście metrów nad ziemią na drugim piętrze budynku służącego kiedyś jako magazyn mebli. Do fabryki prowadziły wysokie, strome schody, przyklejone niejako do ściany budynku. Mimo że schody miały z prawej strony poręcz, nie czułem się zbyt pewnie, ilekroć wchodziłem do fabryki.

W dzieciństwie mama zabierała mnie często do miasta na robienie sprawunków. Jednym z ciekawszych miejsc, jakie odwiedzałem w tym czasie, była hala targowa i targ na ulicy Magdzińskiego. We wnętrzu hali na ogół kłębił się tłum

ludzi. Stragany ustawiono wewnątrz hali w dwóch kręgach, wzdłuż ścian budynku i na środku hali. Oferowano przeróżny asortyment produktów: odzież, obuwie, bieliznę pościelową, sukno, firany, pasmanterię, mięso, ryby i dziesiątki innych rzeczy. W piwnicy sprzedawano głównie nabiał. Przed halą targową funkcjonował targ, na którym kupowało się warzywa, owoce, kwiaty, drób i gołębie. Kury, kaczki, gęsi i gołębie można było kupić zarówno żywe, jak i zabijane na poczekaniu. Zabijaniem gołębi zajmował się potężny mężczyzna, który swoje stanowisko miał w załamaniu muru, kilkanaście metrów od wejścia do budynku hali. Wydaje mi się, że popyt na gołębie był spory, bo ilekroć znajdowałem się na targu, grubas je zabijał. Miał wielką wprawę w uśmiercaniu tych ptaków: brał gołębia w lewą rękę, szyjkę układał między palcem wskazującym i środkowym, uginał palce, po czym prawą ręką odrywał główkę. Mamie nie podobał się sposób egzekucji gołębi. Po kilku pobytach na targu omijała szerokim łukiem miejsce, gdzie zabijano gołębie. Któregoś dnia mama kupiła mi na targu parę drewnianych sandałów zwanych klapaczami lub drewniakami. Sandały tego typu znalazłem jeszcze z czasów okupacji. Miały ruchomą, drewnianą podeszwę, połączoną skrawkami skóry. Otwory w drewnianej podeszwie często pod wpływem ruchu stopy zaciskały się, raniąc delikatną skórę. Nie lubilem z tego powodu nosić klapioków. Jedyną ich zaletą, jak się domyślam, była niska cena. W hali targowej i jej okolicach stykałem się z osobami mówiącymi po niemiecku. Przeważnie były to starsze kobiety. Mówiły przyciszonym głosem, bojąc się widocznie, że ktoś zwróci na nie uwagę.

Od czasu do czasu chodziłem z mamą do kawiarni. Spotykała się tam ze swoimi kumoszkami. Mama nie uznawała powojennego nazewnictwa kawiarni, restauracji i sklepów. Do kawiarni chodziła, tak jak przed wojną, do Greya na Gdańską, Hassa na Jezuicką i do Misiaka na Niedźwiedzia. Jeszcze na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych na rogu ulicy Gdańskiej i Świętojańskiej cukiernię miał piekarz Wincenty Bigoński. W głównym pomieszczeniu sprzedawał artykuły piekarnicze, w bocznym znajdowała się cukiernia. Stało tam kilkanaście stolików z marmurowymi blatami. Bigoński oferował ciastka i lody własnej produkcji. Kawiarnia dysponowała solidną zastawą stołową. Wszystkie talerzyki, miseczki i dzbanuszki były zrobione ze srebrzystego metalu. Lody podawano w ciężkich, metalowych kielichach. Później odebrano Bigońskiemu kawiarnię, przeznaczając ją na sklep z kosmetykami.

W centrum miasta istniały dwa sklepy z obuwem, „Bata” na placu Teatralnym i „Leo” na Gdańskiej. Po kilku latach zmieniono nazwy tych sklepów, jednak w kręgu rodzinnym krewnych i znajomych nadal funkcjonowały stare nazwy. Sklep rzeźnicki na Gdańskiej nazywało się zawsze u „Achtla”, drogerię na rogu Chodkiewicza i Gdańskiej u „Wawrzona”, odzież i pasmanterię kupowało się

u „Susaly” na Starym Rynku, a artykuły spożywcze w kolonialce Grobelnej na Gdańskiej. Na Starym Rynku nr 12 znajdował się także sklep z tekstyliami (materiałami ubraniowymi i sukienkami) moich krewnych, braci Władysława i Czesława Mateckich. Sklep zajmował parter i pierwsze piętro. Mama wstępowała tam od czasu do czasu, aby porozmawiać z zatrudnioną tam ekspedientką. Znała ją jeszcze sprzed wojny z pracy w Domu Towarowym Mateckich. Sklep zlikwidowano bodajże w 1949 r.

Po wojnie główne ulice Bydgoszczy zmieniły swoje nazwy. Gdańską nazwano Alejami 1 Maja, Jagiellońską – Generalissimusa Stalina, Marszałka Focha – ulicą Armii Czerwonej, plac Teatralny został przemianowany w 1948 r. na plac Zjednoczenia. Nasz rodzina nie przyjęła do wiadomości nowego powojennego nazewnictwa ulic. Najbardziej konsekwentna była w tym względzie moja mama. Osobiście byłem bardziej elastyczny, w obcym mi środowisku czy w sytuacjach oficjalnych stosowałem nową nomenklaturę.

W drodze z Asnyka do miasta często przechodziłem obok Niemieckiego Teatru (przed wojną i w czasie okupacji „Deutsche Bühne”) przy Alejach Mickiewicza. Była to brzydka budowla przypominająca bardziej stodołę niż teatr. Budynek miał kształt prostokąta. Podstawa tego prostokąta z jednej strony dochodziła prawie do ulicy Gdańskiej, a z drugiej strony do ulicy 20 Stycznia. Mogło się podobać jedynie otoczenie teatru, bowiem prowadziły do niego rzędy drzew, tworząc cienistą aleję. Rozebrano go w 1946 r. i niemal natychmiast przystąpiono w tym miejscu do budowy teatru z prawdziwego zdarzenia. Otwarcie Teatru Ziemi Pomorskiej nastąpiło w 1949 r. Kiedyś, mógł to być rok 1952, idąc z mamą i moimi siostrami obok nowego teatru, zauważyłem elegancko ubranego mężczyznę stojącego na schodach. Mama wyjaśniła, że jest to aktor Leon Niemczyk. Aktor wyraźnie odbiegał wyglądem od przeciętnego przechodnia. Miał na sobie markową zagraniczną odzież: kolorową samodzielną marynarkę, białą koszulę i jaskrawy krawat. Z zainteresowaniem przyglądał się przechodniom, jak mi się wydaje w szczególności kobietom. W pewnym momencie Niemczyk uklonił się mamie. Mama, wyraźnie zmieszana, powiedziała do nas: – *Przystojny dziad ten Niemczyk*. Latem 1947 r. pojechałem na wakacje do wujka Zbyszka Nowakowskiego do Góry koło Żnina (miejscowość znana także pod nazwą Wilczkowo). Wujek w tym czasie zarządzał dużym, przeszło 150-hektarowym majątkiem rolnym. Właścicielka majątku, którą nazywano dziedziczką, przejęła majątek po swoim krewnym, z pochodzenia Niemcu. Wujek opowiadał, że owego Niemca zaraz po wojnie zatrzymali Rosjanie. Nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić, ponieważ pracownicy majątku dobrze go wspominali i się za nim wstawili. Podobno umieścili go w jednym z pobliskich gospodarstw rolnych, gdzie pracował przez jakiś czas

jako pastuch. W czasie mojego pobytu w Górze dziedziczka przebywała w Stanach Zjednoczonych. W majątku pracowało kilkunastu ludzi odnoszących się do mojego wujka z wielką estymą. Zwracali się do niego per panie dziedzicu, wielmożny panie lub panie inżynierze. Któregoś wieczoru do majątku nadszedł transport koni przekazanych dla Polski przez organizację powiązaną z Administracją Narodów Zjednoczonych UNRRA, niosącą pomoc zniszczonej przez wojnę Europie. Zwierzęta przywieziono pociągiem do Żnina. Stałem przed bramą wjazdową do majątku i obserwowałem wraz z innymi ludźmi nadejście pierwszych koni. Szły niekończącym się strumieniem. Mogło ich być kilkaset, chociaż mnie, małemu dziecku, wydawało się, że są ich tysiące. Były to przeważnie ciężkie konie belgijskie rasy brabantkiej, dobrze odżywione i utrzymane. W środku dziedzica znajdowały się długie, obszerne stajnie, do których je kierowano. Większość koni przeznaczona była do pracy w okolicznych gospodarstwach chłopskich, tylko nieliczne miały pozostać w majątku.

Czas na wakacjach mijał beztrosko. Synowie wujka: Andrzej, Rysiek i Wojtek, byli mniej więcej w moim wieku, więc nie mogłem narzekać na brak rozrywek. Zabawom i psotom nie było końca. Pewnego dnia jednak miało miejsce zdarzenie, które mogło się zakończyć tragicznie. W gospodarstwie znajdowała się ogromna gnojówka, czyli zbiornik z gnojowicą, wielkości stawu. Spływały do niej odchody zwierząt gospodarskich, przede wszystkim krów i koni. Odchody do gnojówki spływały prawdopodobnie przez dziesiątki lat. Z czasem miejsce to obrosła trawa, w kilku miejscach rosły nawet kępki krzaków. W poprzek gnojówki biegło coś w rodzaju ścieżki. Ścieżka miała zaschniętą z wierzchu skorupę. Dorośli przestrzegali nas, abyśmy nie wchodzili na teren gnojówki, bo jest to niebezpieczne. Podobno potopiły się już tam zwierzęta domowe, a kilka tygodni przed moim przyjazdem wpadł do gnojówki traktor. Szybko zapomniałem o przestrożach i ochoczo biegałem za kuzynami po wydawałoby się utwardzonej powierzchni gnojówki. Pewnego dnia stało się nieszczęście: biegałem za którymś z kuzynów przez środek gnojówki, zrobiłem jeden nierozważny krok w bok i nagle znalazłem się po pas w śmierdzącej mazi. Zacząłem się chaotycznie szamotać na wszystkie strony, ale efekt był taki, że coraz bardziej pogrążałem się w cieczy. Kuzyni podawali mi jakieś kijki, abym się ich chwycił, ale były za krótkie, gnojowica sięgała mi już po szyję – zacząłem się topić. Starszy z kuzynów Andrzej podał mi miotłę, ale ta okazała się też za krótka, abym ją dosięgnął. Moje krzyki i krzyki kuzynów zwróciły w końcu uwagę dorosłych. Jeden z pracowników podał mi długi drąg, którego złapałem się resztką sił. Powoli wyciągnął mnie na brzeg. Moja mama i żona wujka, ciocia Janka, podjęły szybką decyzję, wsadziły mnie nagiego do wanny i starannie umyły. Po umyciu wyglądałem jak raczek –

skóra zabarwiła się na czerwono pod wpływem dużego stężenia azotu i potasu w gnojowicy. Na skórze pojawiło się też pełno drobnych krostek. Zaczerwienienie skóry ustąpiło dopiero po kilku dniach

Memoirs. Part I. Occupation and the initial postwar years

keywords: Janusz Esmán, Bydgoszcz, memoirs, history

Janusz Esmán was born in Bydgoszcz on July 22, 1940. He was the son of Tadeusz, an archivist, director and long-term employee of the National Archive in Bydgoszcz, who also wrote memoirs. After law studies at the Nicolaus Copernicus University in Toruń, he started a brief career as a scholar. Since 1969, he was employed as a legal adviser in, among others, the Regional Branch of the Social Insurance Company in Bydgoszcz. In 1980 and 1981 he stayed in Iraq as the Main Specialist for Legal Affairs in Construction of Plants. After his return, he settled down in Rogoźno working as legal adviser. He worked as social activist in the Society of the Friends of Rogoźno. He retired in 2006.

He dedicated his memoirs to description of his life under German occupation in Bydgoszcz and the initial years after the end of World War II. In his memoirs, he revealed historical knowledge and a skill to observe attentively everything that accompanied war reality in the city. He appears not only as an insightful observer, but also as a person experiencing effects of political and social changes in the postwar history of the city.

Memoiren. I. Teil. Zeit der deutschen Besatzung und die ersten Nachkriegsjahre

Schlüsselwörter: Janusz Esmán, Bydgoszcz, Memoiren, Geschichte

Janusz Esmán ist am 22.07.1940 in Bydgoszcz geboren. Er ist Sohn von Tadeusz, dem Archivar, Direktor, langjährigen Mitarbeiter des Staatsarchivs in Bydgoszcz, sowie Autor der Memoiren. Nach dem Jurastudium an der Nikolaus-Kopernikus-Universität in Toruń hat er eine kurze Berufslaufbahn als Wissenschaftler angefangen. Seit 1969 war er als Rechtsbeistand u.a. in der Woiwodschaftsabteilung der Sozialversicherungsanstalt in Bydgoszcz tätig. In den Jahren 1980 und 1981 hat er als Hauptfachkraft für Rechtsangelegenheiten im Bauunternehmen in Irak gearbeitet. Nach der Rückkehr hat er sich in Rogoźno niederlassen und war als Rechtsbeistand tätig. Er war im Liebhaberverein der Stadt Rogoźno ehrenamtlich aktiv. Seit 2006 ist er in Rente.

Seine Memoiren hat er der Beschreibung des Lebens in den Zeiten der deutschen Besatzung in Bydgoszcz sowie in den ersten Jahren nach Beendigung des II. Weltkrieges gewidmet. In seinen Memoiren bringt er historisches Wissen an den Tag, er kann die Begleiterscheinungen der Nachkriegszeit in der Stadt eingehend beobachten. Er hat sich nicht nur als scharfer Beobachter sondern auch als Person erwiesen, die die Folgen des politischen und gesellschaftlichen Wandels in der Nachkriegszeit Stadt am eigenen Leibe erfahren hat.